

# Łagodni

Patrycja Nowak

—przypowieść



@Copyright by Patrycja Nowak  
Grafika, skład i projekt okładki: Magda Penar

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości  
bez zgody autorki zabronione.

wydanie I - 2017

—przypowieść

**Łagodni**

Patrycja Nowak

*Wiele dobra powodują ci, którzy nie mając żadnych mocnych zasad moralnych i trwałych przekonań akceptują innych ludzi i odnoszą się do nich ze spontaniczną życzliwością, nie bacząc na to, czy mają do czynienia z dobroczyńcami, złoczyńcami, mieszańcami. (...) Zasady moralne są maską ukrywającą niezdolność do przyjęcia świata“*

*„...potępienie zła ze stanowiska dobra i utożsamianie się z tym „wyższym” stanowiskiem w przekonaniu o własnej racji moralnej – jest zwykłą arogancją. Jest niezgodą na świat“*  
*/“Szczeliny istnienia“/*

*...w tamtym kraju, tamtym systemie, zwątpienie znaczyło tyle co wiara, bo naokoło pełno było wiary fałszywej albo wyeksploatowanej.*  
*(...) Zadziwiające, ile może zdziałać utrata wiary*  
*/Tadeusz Sobolewski/*

## RODZIAŁ I

Anna Zemełka siedziała na ławce w parku i obserwowała wąty ruch. Głównie gawrony, wróble, czasem szara wiewiórka. Ale były i staruszki. Początkowo wydawały się identyczne, jednak po chwili Zemełka zrozumiała, że starsze kobiety dzielą się na dwie kategorie: te, które mają młode psy i te które mają psy stare. Choć niemal wszystkie ławki wkoło były puste, pulchna dziewczyna usiadła właśnie obok Zemełki. Miała ładną, lecz wciąż zbyt młodą twarz, można się jednak było domyślić, że kiedyś pojawią się na niej szlachetne rysy. Teraz jednak okrągła twarzyczka wyrażała coś, co Anna Zemełka w myślach określiła jako łagodne zimbecylenie. Niegroźne i w gruncie rzeczy sympatyczne. Dziewczyna wyjęła z brzydkiej torebki kolorowe pismo dla kobiet i zaczęła je wertować z wielką uwagą.

Po chwili wyjęta także telefon i włączyła muzykę. Zrobiła najgłośniej. Położyła telefon między sobą a Anną Zemełką. Dziewczyna była brzydko ubrana, a na domiar złego miała fatalny gust muzyczny. Zemełka patrzyła na nią ze zdumieniem. Długo i otwarcie wpatrywała się w dziewczynę, która siedziała pół metra obok niej i była całkowicie pochłonięta czytaniem głupiego pisma oraz machaniem pulchną nogą w takt bardzo złej muzyki. Chyba faktycznie nie zauważyła, że ktoś jej się natrętnie przygląda.

Kiedy Anna Zemełka uznała, że wpatrywała się w dziewczynę wystarczająco długo, otworzyła wieczko od plastikowego kubka, z którego popijała kawę, wstała, i wylała zawartość na kolana dziewczyny.

– Co pani?! – dziewczyna podskoczyła jak poparzona, a można przypuszczać, że faktycznie Zemełka poparzyła jej uda swoją kawą.

– Z przykrością muszę to powiedzieć, brzydka spódnica, fatalna muzyka – oznajmiła Anna Zemełka i odeszła z godnością.

Szła powoli, była pewna, że dziewczyna nie odpłaci się jej w żaden sposób.

Wyglądała na tchórzliwą. Tak też było. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca. Nagle Zemełka zawróciła gwałtownie i podała jej chusteczki higieniczne.

– Nie było ci w niej do twarzy, nie żałuj za bardzo – Zemełka uśmiechnęła się i odeszła na dobre.

Dziewczyna patrzyła jak Anna Zemelka znika za zakrętem, idąc spacerowym krokiem i machając nieznacznie małą torebką na pasku, którą trzymała w dłoni. Patrzyła i myślała, że nigdy nie spotkała tak spokojnej i pewnej siebie kobiety, której by się bała i jednocześnie nie bała zupełnie. Może tylko jej matka taka była, ale nie żyła od kilku lat i dziewczyna powoli traciła jej twarz i głos z pamięci.

Zarówno Anna Zemełka jak i Zemilski byli ludźmi pięknymi. Wysocy, ona ciemnowłosa i ciemnooka, której gęste włosy można by wpleść w końską grzywę. On zielonooki i piegowaty, ze złotawą skórą. Muskularny, żyła na żyłę, jak dziki zwierzę. Cały wytatuowany. Oboje wiedzieli o drzemiącej w nich potęgze. Ludzie robili dla nich różne rzeczy, nie musieli o nie nawet prosić. Inni lgnęli do nich, chcieli pobyc blisko i byli zaszczyceni, gdy jedno bądź drugie odezwało się do nich. Obcy ludzie marzyli o tym, by choć raz pójść z którymś z nich do łóżka i byli gotowi dać się za to upokorzyć, chociaż nikt tego od nich nie wymagał.

Oboje byli pewni siebie i spokojni, byli nadchodzącą siłą grzmotu. Wiedzieli o tym i przyjmowali swoją potęgę. Nie otrzymali jej za zasługi, ale przez niesprawiedliwość wszystkiego na tym świecie. Ludzie oczekiwali od nich czegoś więcej, zawsze czegoś więcej, jakby oboje musieli spłacać tę swoją wybitną urodę.

Do warzywniaka kolejka stoi głównie po zdrapki i losy na loterię. Nie jest to najgorsze, nikt nie robi obfitych zakupów, proszę los i do widzenia. Szybko i sprawnie. Mimo to kolejka wciąż jest długa, przez cały dzień. Tego ranka, tuż po otwarciu, wpadła młoda kobieta z wąsikiem. Była zdyszana, a upał już zapowiadał południowy skwar. Pociła się i widać było, że dotarcie do warzywniaka wymagało od niej siły woli.

– Nie ma? – zapytała z przerażeniem, patrząc na szybę wystawową. Dosłownie gapiła się na wystawę. Czego niby nie ma?

– Nie ma wyników – oznajmiła spokojnie sprzedawczyni.

– To jak sprawdzę?

- Potem będą, to przykleję.

Kobieta westchnęła, czy raczej sapnęła niezadowolona, ale mimo to jakoś wyrozumiale. Chuda sprzedawczyni wyglądała na zagłodzoną i przemęczoną, nie było co się na nią gniewać. Kobieta nawet nie spojrzała na świeże krajowe truskawki, oblepione trawą i sianem, w dobrej już cenie. Wyszła. Przez szybę, na którą z takim natężeniem przed chwilą patrzyła, widać było, jak biegnie do tramwaju.

Wszystko jej falowało.

Zdrapki kupują głównie mężczyźni. Albo stare kobiety dla mężów, którzy nie wychodzą z domu. Może z lenistwa. Może nie mają nogi z powodu cukrzycy. Trudno powiedzieć. A ci, którzy mają nogi, sami przychodzą i kupują losy za bardzo małe pieniądze. Zawstydzeni, to przecież kłopotliwy zakup. Tak publicznie przyznać się do wiary w szczęśliwy traf i w to, że może to właśnie mnie wybierze, mnie, i ja wygram pieniądze i ja będę bogaty. Do takiej naiwności przyznać się przed obcymi w warzywniaku. Chuda sprzedawczyni jest jak ginekolog. Dyskretna, udaje, że tych mężczyzn nie poznaje. A przecież przychodzą codziennie, wyjmują z kieszeni odliczone grosze i kupują. Trzymają nisko brodę, pochylają głowę, żeby nie było ich dobrze widać. A tego dnia sprzedawczyni była w ogóle nie taka. Nie wywiesiła wyników losowania. To raz. A dwa, straciła wyrozumiałość dla tych durniów. I kiedy kolejny mężczyzna, który codziennie przychodzi po zdrapkę, dotarł do lady i powiedział:

- Drapanko będzie. A niech będą dwa.

- Po co panu dwa? - zapytała matowo.

- No wie pani, żeby wygrać.

- Niech pan nie liczy. Raz się wygrywa, raz się przegrywa.

Mężczyzna wziął dwie zdrapki i pożałował, że je kupił. Czuł się zrugany jak przez matkę. Sprzedawczyni nie musiała na głos komentować. Widać coś się u niej niedobrego dzieje. Żeby jutro była w lepszym humorze.

Zemilski znał to wszystko na pamięć, więc i tym razem ominął warzywniak i zdecydował się nie kupować do pracy truskawek, tylko zamówić pizzę jak zgłodnieje.

Stanął na przystanku tramwajowym, z wielkimi okrągłymi słuchawkami na uszach, i czekał na swój numer. Inni ludzie nie tylko stali i czekali, ale też przechodzili w jedną i drugą stronę, bo przystanek stał im na drodze. Czekający co chwila byli więc zmuszeni do przesuwania się to w prawo, to w lewo, potrącani przez pospiesznych przechodniów niczym sflaczałe, na wpół zgniłe pudełka po pizzy. Wszyscy czekający czuli, że zawadzają, choć przecież właśnie oni byli na swoim miejscu. Tłum oszczędzał tylko dziewczynę z dzieckiem w wózku, ponieważ potrącanie wózka wciąż uchodziło za nietakt.

Zemilski miał niemal dwa metry wzrostu, tatuaże na rękach, szyi, brzuchu, nogach i był silny. Stał pośrodku tej zawieruchy niczym zdrowy dąb i nie przesuwiał się nawet na krok. Ludzie odbijali się od niego i zadzierali głowy, by spojrzeć mu w oczy z wyrzutem. On patrzył na nich z pogardą, tym bardziej że nikomu nie przyszło do głowy, by zwyczajnie przeprosić za potrącenie, zderzenie, kolizję z jego ciałem. Nikt nie szanował nietykalności ciała Zemilskiego, dlatego nie minęła chwila, gdy zaczął się zabawiać tak, jak zwykle robił to na przystanku: podstawił ludziom nogę i patrzył jak małe cherlawe stworzonka z trudem łapią równowagę, wpadając na siebie nawzajem. Niestety, ludzi niczego to nie uczyło. Nadal pchali się i potrącali sflaczałe pudełka po pizzy, zdenerwowani, że pudełka nie przepaszają za to, że zawadzają. Kiedy podstawił nogę kolejnej ofierze, która pchała się nie tylko na Zemilskiego, ale też dzieciaka, który prawie spadł z krawężnika, facet runął jak długi i rozbił sobie nos. Krew była wszędzie, a człowiek miał przerażoną minę. Patrzył na Zemilskiego z niemym wyrzutem, zaskoczony, a jakieś plotkary zaczęły pytać „Coś pan? Coś pan?” i nie oczekiwały odpowiedzi, tylko machały rękami. Zemilski jednym silnym szarpnięciem postawił faceta z rozkwaszonym nosem na nogi, a ten zapytał cichutko:

– Za co? – a zapytał tak cichutko, bo dobrze wiedział za co.

Dlatego Zemilski nie raczył odpowiedzieć, tylko kopnął go w tyłek, lekko, zamiast klepnięcia po plecach na zgodę, a następnie porzucił pomysł czekania na tramwaj



i poszedł na piechotę. Kiedy był już dość daleko, usłyszał piskliwe głosy wygrażających mu plotkar:

– Będziesz się za to w piekle smażył, bydlaku jeden! – ale Zemilski nie przejął się zupełnie, bo wiedział doskonale, że zawsze najbardziej obrywa się ludziom zdecydowanym. Słabi i bezwolni zdobywają w tym czasie medale za wzorowe zachowanie.

Anna Zemełka spacerowała ulicami miasta, donikąd się nie spiesząc.

Powinna już dawno być matką. Powinna znowu być żoną albo czyjąś kobietą.

A tu krok w tył. Teraz, kiedy jej życie się roztrzaskało, zdała sobie sprawę, że mogła by dać dużo miłości i cierpliwości. Zamiast tego miała w sobie gniew. Musiała go spożytkować, obdarzyć nim innych, bo gniew był najlepszym, co w sobie miała. Tak trzeba było zrobić, żeby uznać to życie za cokolwiek warte.

Zemełka nie miała codziennych spraw, dlatego mogła się oddać pożytecznemu zużytkowaniu swojego gniewu. Chciała tylko, by był elegancki, nie znosiła chamstwa, wrzaskliwości i porywczych patetycznych gestów. W ogóle patos był jej zdaniem okropny, choć wiedziała, że sama wygląda patetycznie. W długiej sukni opiętej na biodrach, z dekoltem, z masą rozpuszczonych kruczych włosów i na obcasach. Wyglądała patetycznie. Nastrój też miała wzniosły, jak zawsze kiedy trafiały się ciepłe dni. A tego roku lipiec był wyjątkowy, gorący, ale nie skwarny, a przyjemna temperatura nie spadała nawet nocą. Wtedy tylko zachodziło słońce i zastępował je przyjemny lekki wiatr, który gładził ciało i poruszał liśćmi drzew. W takie dni wszystko wydaje się lepsze. Tak jak kiedy jesteśmy zakochani, nagle w słoneczny letni dzień widzimy sprawy piękniejsze, lepsze i bardziej przyjazne. Banał, który nigdy nie zawodzi i nie ma zupełnie znaczenia jak bardzo jest wyświechtany. Po prostu są sytuacje, w których ludzie czują się dobrze, nawet gdy nie mają powodu.

Anna Zemełka patrzyła na ludzi, których mijala, dzieci uroczo zanoszące się śmiechem, niespieszny spacer pary, na kwiaty w witrynach sklepów, a przede wszystkim soczystą zieleń roślin, która wciskała się w każdą szczelinę miasta.

I wszystko ją kołło. Słońce raziło, przez co świat wydawał się jeszcze bardziej jak ze snu. I zawsze w taki piękny dzień znajdzie się ktoś, kto nagle brzdęknie klaksonem, ktoś zakrzyknie jak stara sroka „Jak jedziesz, cwelu?“, jakaś grupa chłopaków, idąca swoją stroną chodnika, z jakichś przyczyn uzna, że to ty, kobieta na swoim pasie, masz ustąpić im miejsca, inaczej potrąca cię ramieniem i obrzucą wzgardliwym spojrzeniem, słowem nagle w taki piękny dzień nie masz innej możliwości niż tylko zmienić się z życzliwej istoty w czołg.

–Nie mogę pogodzić się z coraz większą ilością wszystkiego wstrętnego – myślała Anna Zemełka – Z obojętnością, z dupami, cyckami, babami, chłopami, z rechotem, z ckliwymi złotymi myślami, których nikt nie ma nawet zamiaru wcielić w czyn, ale może pochlipać nad urodą wzniosłą złotej myśli, z mężczyznami głoszącymi, że miłość i wierność to są jakieś idiotyzmy dla infantylnych ludzi bez libido, z jakąś paskudną ohydą, z której trzeba wyfuskować co ładniejsze rzeczy, sprawy i ludzi, z udawaniem, że się nic nie czuje, z ogólnym zdziecinnieniem, zmatowieniem i zdrewnieniem, wszystko mnie generalnie dziwi coraz bardziej. Za chwilę kupię sobie ciastko. Za chwilę. Jeszcze nie teraz.

Zemełka zauważała wszelkie okropieństwa, których było mimo wszystko mniej od urokliwych dowodów na to, że był to piękny dzień, ale skutecznie wszystko psujących. Znikąd pojawił się samochód, który, mijając ją, wjechał banalnie w jedyną w okolicy kałużę – stworzoną prawdopodobnie sztucznie przez kogoś, kto niedawno mył chodnik. Auto zbryzgało Zemełkę po szyję. Miała plamki błota na gołym ramieniu.

– Szlag mnie trafi, naprawdę w końcu tak się stanie – zamruczała na głos.

Zemełka czasem czuła się wśród ludzi jak wśród brudnych prześcieradeł, które w horrorze klasy b powstały nagle ze szpitalnego śmietnika i postanowiły żyć jak leżący na nich kiedyś pacjenci. Anna Zemełka nie wiedziała, co te brzydkie bezrozumne potwory robią wokół niej i dlaczego mówią tak dobrze w jej języku.

– Wie pani, gdyby pani chciała, mogłaby pani pozwać tego drania. Pracuję w sądzie, mogę pomóc.

– O, tak? – zapytała Anna Zemełka i spojrzała prosto w oczy ciecia sądowego. Ten spieszył się jak uczeń, zaczął machać ręką przed nosem, jakby oganiał się od muchy i rozglądać, jakby czekał na ratunek.

– Przepraszam – rzucił już tylko i ruszył w swoją stronę.

Wspominał potem kolegom, z którymi spotykał się na spacerach z psami, że nie wie, co w niego wstąpiło. Podrywać taką kobietę. Mówił im też, że spojrzeniem wywołała u niego erekcję, co doprowadziło go niemal na skraj wstydu i uciekł. Wiele jeszcze razy podczas spacerów budował wspólnie z kolegami wizerunek Anny Zemełki, aż w końcu z osoby realnej zmieniała się w ich wspólną fantazję i bardziej przypominała dziewczynę z plakatu przyklejonego w kabinie TIR-a, niż włoską donnę.

Anna Zemełka lubiła ludzi pięknych, delikatnych, tych, którzy śmieją się perliście, a noszą w sobie bolesne tajemnice, są szlachetni, nieśmiali lub przeciwnie; buńczuczni, coś dźwigają, czegoś pragną. Ale byli ludzie, których Anna Zemełka nawet nie próbowała polubić. Jednym z nich był ten nastoletni grubas, którego zauważyła przy budce z lodami. Stał z matką i ojcem. Nie chciała dać mu nauki dlatego, ponieważ przepełniła ją troska. Nie przepełniła jej. Ale wbrew pozorom nie chciała też dokuczyć denerwującemu ją monstrum. Anna Zemełka chciała po prostu, żeby chłopak był zdrowy i pełny urokliwej wiary w siebie, bo ulice pełne zdrowych, kwitnących ludzi są znacznie ładniejsze.

Sytuacja była ponura i nieładna. Chłopak skamlał jak mały spaniel, prosząc o lody. Matka tłumaczyła mu, że nie może jeść lodów, bo ma poważną cukrzycę. Ojciec w tym czasie mu te lody kupował, a matka chłopaka błagała ojca, by tego nie robił, bo przecież ich syn nie może jeść cukru.

– Dlaczego pan mu kupuje lody, jak on ma cukrzycę i żona pana prosi?

Mężczyzna i cała rodzina osłupieli. Dosłownie zeszywnieli jak głązy i nawet nie mrugali ze zdziwienia. Wreszcie ojciec grubasa wydukał:

– Niech się dzieciak cieszy.

– A ucieszysz się jak mu nogi amputują? I ręce? I jak umrze? – Zemełka mówiła to

wszystko swoim miękkim głosem, bez cienia uśmiechu na twarzy, ale też zupełnie nie napastliwie, raczej z pewną ciekawością i ten dziwny ton wprowadzał mężczyznę w większą konfuzję niż samo pytanie.

– Nie – opowiedział szczerze.

– Ale ja chcę lody, wszyscy jedzą, ja też chce jeść! – grubas był nastolatkiem nie tylko otyłym, ale też płacziwym. Mimo to Zemełka znalazła w sobie odpowiednie pokłady miłosierdzia, by zając się chłopcem i raz na zawsze ukarać go za jego śmiertcioną żarłoczność, a tym samym uratować go od amputacji kończyn i od zgonu. Zemełka rozejrzała się i zobaczyła cukiernię. Pociągnęła grubasa za ramię i weszła razem z nim do środka. Rodzicom pokazała gestem, żeby zostali tam, gdzie byli, a oni posłuchali. Potem nie potrafili racjonalnie tego wytłumaczyć. Zemełka miała w sobie coś z królowej i ludzie po prostu jej słuchali.

W cukierni była cała masa ciast i ciastek, przeróżnych wielkości, smaków i kształtów. Pachniało. Zemełka sama miała ochotę na kawałek królewskiego tortu, ale zamiast tego powiedziała:

– Widzisz te ciastka? Jak byłam mała to wierzyłam, że one wszystkie są żywe. Zawsze kiedy przychodziłam do cukierni, nadawałam im imiona – Zemełka nie miała pojęcia skąd jej to przyszło do głowy. Ale plotę głupstwa, pomyślała, jednak brnęła dalej i nawet bawił ją absurd wypowiedzianych z coraz większą pewnością słów. – Kiedy przyjrzesz się ciastku, każde ma swoją małą twarz, wiedziałeś o tym? Chyba nie. Ja to wiedziałam jak byłam mała, nadawałam im imiona i potem nie byłam ich już w stanie zjeść. Rozumiesz?

Grubas patrzył na Zemełkę jak na wariatkę. Może nawet trochę uwierzył w jej opowieść, choć ona sama kompletnie w nią nie uwierzyła. Ale nawet ta wiara w świat żywych ciastek nie zrobiła na chłopaku wrażenia. Pożarłby je, choćby były noworodkami, synami samego Boga, wybawcami świata.

– Jest coś jeszcze – dodała Zemełka, czując, że chłopak wyrósł z opowieści o żywych ciastkach – jeżeli grubas taki jak ty zje w swoim życiu więcej niż 54 tysiące jednostek cukru, a ty z pewnością się do tego zbliżasz, będzie tak otyły, że nigdy ale to

przenigdy nie zobaczy swojego penisa.

– I tak go nie widzę – rzucił ponuro chłopak i zaraz się zawstydził. Nigdy wcześniej nie rozmawiał z nikim o penisach, a już na pewno nie z piękną, dorosłą kobietą.

– Tak przypuszczałam. To dopiero początek. Potem będziesz miał techniczne kłopoty z masturbacją, a będzie to w twoim przypadku jedyna forma życia seksualnego, bo żadna dziewczyna nawet cię nie pocałuje. Ile masz lat? 16? Ja w twoim wieku nie byłam już dziewicą. A ty? Żadna cię jeszcze nie pocałowała, prawda, mój biedaku?

Grubas spojrział na Annę Zemełkę z nienawiścią, a jego oczy napęłniły się łzami. Zaraz rozbeczy mi się tu jak dzieciak, pomyślała Zemełka z niechęcią, naprawdę trudno było polubić tego chłopaka. Ale on powstrzymał łzy, zerwał się gwałtownie z krzesła i wyszedł z cukierni, trzaskając drzwiami. Minął rodziców bez słowa i maszerował chodnikiem żwawo, jak nigdy. Zemełka obserwowała go z satysfakcją. Była pewna dwóch rzeczy: tego, że chłopak idzie teraz prosto do domu, by sprawdzić przy pomocy kieszonkowego lusterka, w jakim stanie znajduje się jego penis, a także, że na zawsze zapamięta słowa Anny Zemełki. Miała nadzieję, że przestanie się obżerać.

Są ludzie, którzy zawsze widzą sprawy bez upiększeń. Nie potrafią interpretować zdarzeń. Ani ich nie uwznioślają, ani nie dramatyzują, oceniają sucho sytuację. Nie mogliby zostać malarzami, ale byłiby świetni jako fotograficy-reporterzy, którzy starają się jak najwierniej oddać to, co widzą. Oczywiście nikt nie widzi świata obiektywnego, w ogóle nie bardzo wiadomo, co to właściwie oznacza, obiektywny świat. A jednak Zemilski był tym typem krążącym niebezpiecznie wokół spraw, które wszyscy widzą, ale których nikt nie chce zobaczyć. Gdy ktoś popełnia paskudny czyn, ludzie mówią: miał ciężkie dzieciństwo, a Zemilski mówi: to co z tego? Popełnił paskudny czyn, tak czy nie? Równie bezlitosny był wobec samego siebie i składał sobie samemu raporty z małych i większych przewinień. Zwykle jednak łatwo sobie wybaczał. Czy próbował się poprawić? Tak, ale przecież

niemożliwe, by zmienić się raz na zawsze, to jest ciąg prób i usiłowań. Zemilski czasem usiłował, innym razem jedynie przyjmował do wiadomości swoje wady, jak: porywczość, zuchwalstwo, wybujałe ego i bezczelność.

Tego dnia, kiedy kompletnie pijany klient nie chciał zapłacić rachunku i domagał się kolejnego kieliszka wiśniówki, Zemilski po prostu wyszedł z za baru, chwycił człowieka za kołnierz marynarki i wyniósł go na zewnątrz. Bez ceregieli, bez zbędnych tłumaczeń.

– Pożałujesz, byczku – zasyczał wyrzucany za fraki człowiek – nie wiesz, kim jestem, co mogę i jakie mam pieniądze.

– Mam to w dupie – odparł Zemilski po prostu i bez emocji.

Zemilski nie musiał specjalnie troszczyć się o utratę zamożnych klientów i spokojnie mógł spraszać do baru cała hałastwę pijącą za gorsze albo na kreskę, ponieważ był tu panem i władcą. Bar nie należał do niego, ale do jego wuja, który wyemigrował do Chicago tuż przed stanem wojennym i prowadził tam w polskiej dzielnicy masarnię słynącą z najlepszych kiełbas w mieście. Obłowił się i żył tam od meczu w telewizji do puszki piwa, rozleniwiony, opasty i nieruchomości. Lubił marzyć o powrocie do kraju, w jego wyobraźni wysiadał na warszawskim lotnisku piękny i młody, biegli do niego spikerzy z mikrofonami, a dzieci łkały ze szczęścia, podczas gdy kobiety wciskały mu naręczka kwiatów i były wzruszone. Jednak w obawie, że być może tak by się nie stało, wołał mieszkać w Chicago i karmił się myślą, że pozostawił w Polsce część swojego ja, a mianowicie swój bar.

Oczywiście, kiedy opuszczał kraj, nie mógł posiadać własnego baru, ale gdy tylko nastąpiła wolność, nakazał Zemilskiemu taki bar kupić i prowadzić aż do czasu swojego powrotu z USA. Wuj nie orientował się w polskich realiach i wysyłał co miesiąc Zemilskiemu dolary na koszty prowadzenia interesu. Nie były to duże pieniądze, ale wystarczały, by Zemilski nie splajtował, co z pewnością walnie przyczyniało się do jego urokliwej nonszalancji w stosunku do wszystkiego. Sytuacja była patowa, bo rozleniwiała życiowo zarówno wuja jak i Zemilskiego, którzy mimo rozlicznych marzeń związanych z podróżami i podbojem świata, nie ruszali się ze swoich

miejsc. Zemełka i Zemilski poznali się, gdy Anna Zemełka niespodziewanie dla samej siebie weszła do baru Zemilskiego. Lokal był z gatunku wiecznie zakurzonych i nieremontowanych nigdy, pełen bibelotów, starych biletów kolejowych, chińskich figurek i Bóg wie czego jeszcze. Dlaczego więc weszła do tego wypełnionego podejrzanymi typami śmietnika?

Nie wiedziała, ostatnio wiele rzeczy robiła impulsywnie, nie zastanawiając się nad przyczyną. Usiadła przy barze na wysokim stołku i zamówiła whisky. Nic więcej nie mówiła i na nic nie patrzyła. Chociaż nie, patrzyła na Zemilskiego, ale udawała, że przygląda się bezmyślnie teledyskom, które leciały w telewizorze wiszącym za barem i za Zemilskim. Było w tym chłopaku coś denerwującego. Bijąca od niego nieuzasadniona pewność siebie, jakby był królem tego baru, tej dzielnicy i całej galaktyki. Wycierał blat z miną, jakby właśnie zarządzał wszechświatem, a od jego nastroju zależała przyszłość kilku krajów i bezpieczeństwo militarne Europy. Potem Zemełka zamyśliła się nad sobą samą, zwykle przecież, kiedy siedzimy samotnie w barze, robimy to po to, żeby się nad sobą zastanowić. Coś przemyśleć, uzalić się nad swoim losem, coś przecierpieć. Głupie było to zmaganie się Anny Zemełki ze światem. Była zła na świat, nie miała dawnej cierpliwości. Coś kazało jej wierzyć, że kiedy wszystko wokół poukłada, znowu będzie serdeczna. Gdzieś był balans. Zemilski nie wytrzymał i w końcu, bardziej z zawodowego obowiązku niż z ciekawości, zapytał:

– A co ty taka smutna?

– Bo mówią, że sowa to córka piekarza – opowiedziała Anna Zemełka, niezbyt chętnie i nie od razu.

Zemilski uznał ją za nabzdyczoną wariatkę i wrócił do swoich obowiązków. Tego dnia nie rozmawiali już więcej. Za to gdy Anna Zemełka dopijała whisky, podszedł do niej zaafierowany tysięjący facet w garniturze, z grubą, złotą obrączką na spuchniętym palcu.

– Anna Zemełka, jak miło panią widzieć! Co u was? Co u męża? – dopytywał z najgorszym rodzajem sztucznej uprzejmości.

– Nie wiem – powiedziała Zemełka chłodno. Dopiła szybko, wstała od baru i rzuciła w stronę Zemilskiego:

– Do widzenia.

– Nara – odpowiedział Zemilski i pomyślał, że jakie tam do widzenia, babka już więcej tu nie przyjdzie, a szkoda, z uwagi na piękny dekolt. Ale Anna Zemełka wróciła. I to nazajutrz.

Jeśli coś łączyło Annę Zemełkę i Zemilskiego naprawdę i to nawet, kiedy w ogóle jeszcze się nie znali, to było to obrzydzenie do świata i pragnienie, żeby był piękny. Oboje od dziecka marzyli o przygodach i do tej pory byli przekonani, że ich życie będzie wyjątkowe. Jakby nie zauważyli, że od dawna jest już ono w toku i wciąż nie ma żadnych oznak wyjątkowości. Poza tym, rzecz ujmując w skrócie, ona była mądra, a on był odważny. A przynajmniej tak o sobie samych myśleli.

## ROZDZIAŁ II

W odległej dzielnicy miasta, która jeszcze kilkadziesiąt lat temu była osobną wioską, stara siwa kobieta budziła się ze snu. Drugiego tego dnia. Po raz pierwszy wstała o szóstej rano, zrobiła śniadanie dla córki, zięcia i wnuka, ale oni wciąż spali. O siódmej położyła się znowu, bolało ją serce, kołatało niepokojąco i ćmiła ją głowa. A może zwyczajnie nie chciała siedzieć ze swoją rodziną przy jednym stole i patrzeć na nich jak nieuważnie jedzą chleb, mówią nieważne zdania, krzyczą na siebie lub w najlepszym razie pohukują, a ją ignorują lub traktują jak służącą. A najbardziej wnuk, który choć miał dopiero osiem lat, już był przez ojca szkolony, by w szkole bić się z każdym, kto tylko go zaczepi, pluć na innych i kopać ich w zadki. Jak więc ten chłopiec mógł się odnosić do własnej babki, jak nie do kogoś, w kim wyczuwa się utratę sił, starość i topniejącą z dnia na dzień wolę życia. Stara kobieta otworzyła szafę, w której wisały starannie wyprasowane sukienki, bluzki i spódnice. Większość jeszcze sprzed wojny. Dotknęła brązowej plisowanej spódnicy, potem kremowej bluzki z długim rękawem. Kiedy była tuż po ślubie,



teściowa pojechała bryczką do miasta i przywiozła jej towar z najlepszego sklepu. Gustowny i bardzo porządny. Stara kobieta zastanawiała się wtedy, skąd w tej prostej kobiecie tak wspaniały gust. „Towar”, tak nazywała materiał. Jeden kawał był brązowy, na spódnicę, drugi delikatny i kremowy, na bluzkę. Potem teściowa powiedziała jej, jak dojechać do najlepszego krawca w okolicy. Był tak dobry, że szył nawet mundury i czapki strażakom. Teściowa dała jej bryczkę ze swoim najmłodszym jako woźnicą i kazała zawieźć synową. Po tygodniu bluzka i spódnica były gotowe. Jej pierwsze prawdziwe ubranie.

Przez chwilę gładziła spódnicę, potem bluzkę, aż wreszcie usiadła na krześle i zapatrzyła się przez okno. Co też jej się dzisiaj śniło? Nie mogła sobie przypomnieć. Sny zawsze były ważne w życiu jej i całej jej rodziny. Kobiety rozprawiły o nich otwarcie jak o wróżbach, analizowały ich znaczenie. Gdy ktoś im się śnił potrafiły pójść do innej wsi, jeśli tam mieszkał, żeby mu oznajmić „śniłaś mi się” i omówić znaczenie tego snu. Mężczyźni rzadziej o tym rozmawiali i bardziej powściągliwie, bo im nie wypadało, ale byli wdzięczni kobietom, że one zajmowały się snami także w ich imieniu. Sny były i są ważne. A teraz, na starość, coraz gorzej je pamiętała. Musi kupić notes i ołówki, i trzymać je na nocnym stoliku. Będzie zapisywała wszystkie skrawki snu zaraz po przebudzeniu. Od kiedy przestała śnić, straciła drogowskaz. Spojrzała jeszcze raz na bluzkę i spódnicę. Nauczyła się mieć swoje zdanie zaraz na początku małżeństwa. I od tamtej pory zawsze wiedziała, co jest dobre a co złe, co powinna zrobić, i robiła to, co uważała za swoją powinność. Na początku była nieśmiała i delikatna. Jej matka i stryjek byli ludźmi łagodnymi, nie zhardziła przy nich. Ale w rodzinie męża panowały inne obyczaje. Każdy musiał sam o siebie dbać. Pewnego popołudnia, latem, wywrócił się wóz drabiniasty ze zbożem zwożonym z pola. Było to zboże całej rodziny męża, zbierał mąż, bracia, matka, kuzyni. Stara siwa kobieta nie zbierała, bo całe dni spędzała w kuchni, gotowała dla wszystkich obiad, a potem szła w pole i im zносиła. Piechotą, z ciężkimi kankami, bo wóz drabiniasty i konie były w polu. Gotowała myśląc o swoich dzieciach, wtedy miała dwójkę, potem jedno zmarło. Myślała też

o mężu. Ale i o reszcie, o swojej nowej pracowitej rodzinie. Kiedy wóz drabiniasty wywrócił się tuż przed wjazdem na podwórze i cały zbiór zboża rozsypał się wkoło, wszyscy lamentowali. A najbardziej brat męża. Zrobiło jej się go żal. Był sam, bez żony, chudziutki i zawsze smutny. Podeszła do niego, położyła mu rękę na ramieniu i powiedziała pocieszająco, jak zwykle mówiła do dzieci: – Nie martw się, jest bardzo dobry obiad. Pojesz sobie i odpoczniesz, potem pozbieramy.

Brat męża strącił jej rękę brutalnie i krzyknął, że gdzieś ma jej obiad, że ona myśli tylko o żarciu, zawsze tylko o żarciu. Zrozumiała, że nikt nie docenił jej trudu i nie zauważył zmiany. Zanim przybyła do tej rodziny, nikt tam się nie przejmował posiłkami, jedli co pod ręką, skrawki chleba, surowe ryby z głowami, zielone jabłka. Bolały ich brzuchy i zawsze byli głodni. Gdy ona zaczęła przyrządzać posiłki, nareszcie jedli obiady i to dobre, zrobione z miłością. Nie docenili tego, oczy zamgliła im męska pogarda.

Nic wtedy nie powiedziała, ale pomyślała swoje. Od tej pory gotowała osobno dwa obiady. Jeden mniejszy i przyrządzany z miłością. Dla dzieci i męża. Drugi to ziemniaki okraszone masłem, jak dla świń, bo świniom też przyrządzała dobre posiłki, ale bez miłości. Na więcej nie zasługiwali. Nigdy zresztą nie powiedzieli, że obiady zmieniły się od tego dnia, kiedy przewrócił się wóz drabiniasty.

Podeszła do szuflady. Trzymała tam kilka cennych drobiazgów, pamiątek po życiu, które wciąż jeszcze się toczyło, ale było u kresu, więc tym bardziej potrzebowała bibelotów, by się go trzymać i codziennie od nowa składać w swojej głowie w całość. Wyjęła zniszczone czarno-białe zdjęcie, na którym jest cała rodzina, ona i bracia, jeszcze mali, ich matka, wciąż żywy ojciec i jakieś niemowlęta, kuzynki. Spora rodzina. Wszyscy odświętnie ubrani. Poszli zrobić sobie wspólne zdjęcie, bo wiedzieli, że zaraz wybuchnie wojna i chcieli sfotografować się wszyscy razem, ponieważ nie wiedzieli, kto z nich przeżyje. Zdjęcie zrobili u lokalnego fotografa i było to ostatnie, jakie ten fotograf zrobił, bo była to ostatnia klisza jaka mu została. Następnego dnia wojna wybuchła.

Stara siwa kobieta przeczekwała czas, kiedy jej rodzina jadła śniadanie. Przeczekwała

też moment, kiedy jej córka bez pytania wyjęła ze sfatygowanej portmonetki starej kobiety sto złotych, ostatnie, jakie zostało jej z emerytury. Pozwalała na to, by rodzina zabierała jej wszystkie pieniądze. Był to jedyny powód, dla którego córka i zięć w ogóle trzymali ją u siebie, w tej brzydkiej odrapanej kamienicy, wśród tych sąsiadów, których stara siwa kobieta uznawała za dzikie, podłe zwierzęta.

Kiedy w mieszkaniu wreszcie zrobiło się cicho, ubrała się po raz drugi, spłotła starannie w warkocz swoje długie włosy i wyszła na słońce. Byle jak najdalej od tego domu. Byle wrócić tak późno, żeby oni już spali.

Po raz pierwszy Anna Zemełka zagadnęła Zemilskiego przez zupełny przypadek. Nie miała takiego zamiaru, wydawał jej się zgrywusem. Stał za barem jak ksiądz i rozdawał średniej jakości alkohol jak ciało Jezusa. A przynajmniej z taką miną. Anna Zemełka sądziła, że chłopak ten gardzi wszystkimi i jest nieznośny. Zbyt hałaśliwy, żeby mógł być interesujący.

– Jest pan beznadziejny.

– Anka, nie mów do mnie na „pan”.

– A pan niech nie mówi do mnie „Anka”.

Zemilski, w przeciwieństwie do Anny Zemełki, był zaintrygowany. A ona pomyślała tylko, że nie ma pojęcia, dlaczego mówi do tego gówniarza na „pan”, chyba dlatego, że to pozwalało jej zachować dystans i było znakiem, że ona tego wszystkiego nie traktuje poważnie. Tak więc drugiego dnia Anna Zemełka również przyszła. I to przed Zemilskim, który pojawił się na drugą zmianę, kiedy Anna Zemełka siedziała już przy barze i patrzyła na jakiegoś mężczyznę ciepłym sarnim spojrzeniem, ale ponieważ jej oczy były czarne i smoliste, nie było w nich bezbronnej łagodności, ale pełna możliwości czujność. Nieopodal, samotnie przy stoliku, siedziała dziewczyna i płakała. Zemilskiego od razu to zezłościło, nie lubił jak mu ktoś smarkał po stolikach.

– Dlaczego pan tak potraktował tę dziewczynę? Kocha pana. Dlaczego? – zapytała Zemełka spokojnie, jakby rozmowa toczyła się o interesujących statkach

dalekomorskich.

– Bo dzisiaj chciałbym wyruchać ciebie – stwierdził pijany mężczyzna i naraz rzeczywiście wydawało mu się to wspaniałym pomysłem.

– Jestem panem rozczarowana – odpowiedziała Zemełka, podczas gdy woskowe ręce sięgały po jej biust.

Płacząca dziewczyna patrzyła na to z trwogą, przerażona, że Zemełka odbierze jej żółtą koszulkę lidera. Nie wiadomo, co Zemełka chciała zrobić, ponieważ obok przechodził Zemilski, z jakimiś kieliszkami na tacy, i bez ceregieli zabrał od niej wielkie woskowe łopaty.

Grzech istnieje wtedy, kiedy sprzeciwiasz się czemuś silniejszemu, co narzuca ci swoje reguły. To zwykle jest jakiś Bóg, ale niekoniecznie. To może być społeczność, grupa albo silny, ogromny mężczyzna z dużymi dłońmi. Kiedy się sprzeciwisz, nie tylko narażasz się na gniew i odwet, ale na potępienie. Masz grzech.

Zemsta nie była spektakularna. Napluli mu do drinka. Lecz satysfakcja była dziecinnie ogromna. I mieli pierwszy wspólny grzech. Zemilski powiedział potem, że podrywacz przychodzi do baru od dawna i jest stałym bywalcem. Nazwali go „narzeczony”, bo co chwila przyprowadzał nową „narzeczoną”,

a niejednokrotnie podrywał ją tu na miejscu. Na początku wszyscy byli nim zauróczeni. Potrafi być niezwykle czarujący, kiedy nie jest pijany i podrywa z całych swych sił. Najpierw zakochał się w kelnerce. Wszyscy byli urzeczeni tą miłością. Przychodził, przynosił kwiaty, mówił do niej piękne i wzruszające słowa o jej zupełnie wyjątkowym uroku. Kelnerka została zdobyta. Zaraz potem do baru zaczęła przychodzić księgowa, którą narzeczony podrywał w dokładnie ten sam sposób i to na oczach kelnerki. Było to niesmaczne i wszyscy zawiedli się na jego romantyzmie. Dla niektórych był to potężny osobisty cios, bowiem przywykli już do myśli, że jest gdzieś na świecie prawdziwie uczuciowy mężczyzna po czterdziestce.

Co ciekawe, przejści byli głównie mężczyźni, pewnie dlatego, że istnienie takiego faceta w jakiś sposób ich ulepszało. A kiedy zaczęły się pojawiać kolejne i kolejne narzeczone, karmione tymi samymi, czasem dosłownie identycznymi, pełnymi

uniesień zdania, Zemilski zrozumiał, że w całym tym kołowrocie wyjątkowy urok mają nie opiewane kobiety, ale opiewający je facet. Narzeczony trenował swój urok na kobietach jak na workach bokserskich, aż całkiem go stracił i – wiedząc o swym upadku doskonale - został wiecznie pijanym pokracznym łamaczem co naiwniejszych niewieścich serc. A Zemilski miał kolejny dowód na poparcie swej teorii, że najgorsi są ludzie zbyt uprzejmi i zbyt romantyczni.

Kiedy Anna Zemełka pojawiła się trzeciego dnia, było jasne, że ma zamiar zostać stałym, niezwykle regularnym bywalcem lokalu. Dziwiło to Zemilskiego, taka elegancka i dojrzała już kobieta, nie powiedziała, że stara, no ale jednak, że ktoś taki ma czas, żeby całymi dniami i wieczorami przesiadywać w barze, sącząc wino, whisky, to znów pijąc kawę. Osobnym pytaniem, które nurtowało Zemilskiego, było, co i kiedy Anna Zemełka jadła. Tak czy inaczej, Zemilski był już na tyle doświadczonym barmanem, by wiedzieć na pewno, że kiedy czterdziestoletnia kobieta ma bardzo dużo czasu, coś w jej życiu musiało zmienić obrót. To samo dotyczyło mężczyzn. Kiedy dorośli ludzie zaczynają spędzać życie w barze, jest jasne, że znajdują się właśnie w stanie zawieszenia. Zatrzymali się lub coś ich zatrzymało i czekają teraz, aż maszynieria ruszy znowu. Anna Zemełka z pewnością czekała. Trzeciego dnia zjawiała się nie tylko Anna Zemełka, ale też człowiek na rolkach. Był to przeciętnej postury mężczyzna, w wieku około 30 lat, do tego stopnia zauroczony sobą, że dopóki na świecie nie panowały pierwsze przymrozki, pokazywał się, gdzie mógł, bez koszulki. A szczególnie latem i szczególnie, kiedy jeździł na rolkach. I właśnie bez tej koszulki wjechał do baru, niemal spadając ze schodków. Usiadł na stołku obok Anny Zemełki, która akurat sączyła szprycera. Było upalnie. Mężczyzna pocił się niemiłosiernie i sapał, zmęczony jazdą. Zemilski natychmiast zauważył, że zderzenie półgołego spoconego gościa z wytwornie bladą, ubraną w malachitową sukienkę na ramiączkach Anną Zemelką jest denerwujące. Coś tu nie grało. Nie grał półgoły gość. Anna Zemełka myślała o tym samym, jednak w nieco inny sposób.

– Był pan kiedyś w Mediolanie, panie Zemilski? – zapytała.

– Nie byłem. Byłem na Sycylii.

Zemełka i Zemilski patrzyli na siebie z powagą, a półgoły człowiek dyndał nogami w rolkach, pijąc duże piwo. Prawdopodobnie kompletnie nie docierało do niego, że właśnie rozmawiają o nim. Szli chodnikiem, trzymając za ręce przerażonego rolnarza, który sunął na kółkach bez swojej woli, zbyt zaskoczony, by cokolwiek zrobić. Człowiek ten nie był w stanie racjonalnie myśleć, po prostu dał się wywabić z lokalu pod pozorem popisowej jazdy na rolkach, potem dał im się wziąć za ręce, że niby to taka zabawa, my pana rozpędzimy i zobaczymy co pan wtedy zrobi, a potem dał się nie puścić, tylko ciągnąć, a kółka same sunęły posłusznie za Zemełką i Zemilskim.

Była to sytuacja tak niecodzienna, a jego oprawcy mieli tak zwyczajne miny, jakby właśnie udawali się z nim na lody do pobliskiej budki, że facet zastanawiał się, co powinien zrobić? Jak ma się zachować ktoś w takiej sytuacji? Nie znalazł w pamięci żadnych przykładów, a sytuację pogarszał fakt, że przechodnie nie zwracali na nich uwagi. Ot, facet, który daje się prowadzić, pewnie odbywa się tu nauka jazdy na rolkach, nic wielkiego. Ponieważ świat się nie dziwił, rolnarz po kilku minutach zrezygnował z prób protestu i czekał na dalszy ciąg zdarzeń, dając się ciągnąć jak na rzeź. Może to taka zabawa? Może to taki psikus? A potem przestał zupełnie myśleć, wpadł w otępienie i tylko, w takt stukających o chodnikowe płyty kótek, jego mózg produkował mantrę zdziwionych: kur-wa, kur-wa, kur-wa. Minęli jadącą w szalonym tempie rowerzystkę. Jechała po chodniku i miała na sobie strój płetwonurka oraz opływowy kask. Prawie rozjechała dziewczynę, która nieco bezradnie kręciła się przed sklepem spożywczym. Gdy rowerzystka śmignęła obok Anny Zemełki, ta od niechcenia wyciągnęła w obok rękę, co przecież może się zdarzyć, gdy człowiek chce się przeciągnąć, czy poprawić zdrętwiałe ramię. Ręka spotkała się z opływowym kaskiem. Tak popchnięta rowerzystka upadła na bok jak długa i wyglądała, leżąc na chodniku, jak żuk w chitynowym pancerzu,

który nie potrafi wstać. Było to zresztą nie do końca sprawiedliwe ze strony Zemełki, ponieważ rowerzystka jechała, owszem, chodnikiem i szybko, ale do swojej potrzebującej matki. Ta zadzwoniła, że fatalnie się czuje, jest jej duszno i boli ją serce. Prawdopodobnie miała zawał. A teraz, gdy jej córka leży na chodniku przygnieciona rowerem i nie dotrze tak prędko, jak chciała, matka może nawet umrzeć, gdy padnie jak długa na ziemię. Jest sama w mieszkaniu i nikt jej nie pomoże. To się jednak zdarza, takie pomyłki, kiedy się żyje. To się po prostu wszystkim zdarza i nie wolno z tego powodu przekreślać swoich planów, a nawet należy sobie wybaczyć. Rolkarz był przerażony, a Zemilski kiwnął głową z uznaniem. Weszli do sklepu z garniturami i inną wytworną męską odzieżą. Ekspedientki jak na komendę podwracały w ich stronę głowy. Jedna po drugiej, jak papużki. Nikt jeszcze nie widział w tym wytwornym sklepie mężczyzny do połowy nagiego, ubranego niemal wyłącznie w rolki. Sprzedawczynie wpały w dyskretny popłoch, przerzucały się znaczącymi spojrzeniami i nie ruszały z miejsc, zastygłe w pozach, jakby bawiły się w zakute samoloty.

–Szukamy smokingu – oznajmił głośno Zemilski, przez co ekspedientki jeszcze bardziej się wystraszyły.

Wreszcie najstarsza z nich, pełniąca funkcję kierowniczą, podeszła do osobliwych klientów z surową miną.

– Nagich nie obsługujemy. Prosiłabym o opuszczenie sklepu.

– Droga pani – rzekła zatroskana Anna Zemełka – my właśnie chcemy tego pana ubrać. Zrobiło nam się go żal.

Kierowniczką spojrzała na dziwne towarzystwo podejrzliwie, a widząc dokumentnie zagubioną minę rolnika uznała, że faktycznie potrzebuje on pomocy.

– Czego chcecie?

– Mówiłem już – przypomniał się Zemilski – smokingu.

– Ale ja mam smoking. To znaczy mam garnitur weselny – odezwał się wreszcie rolnik.

– Gdzie masz?

– W domu.

– To teraz będziesz miał smoking – zawyrokował Zemilski. – I nie będziesz go trzymał w domu, tylko będziesz w nim jeździł na rolkach. Zrozumiałeś? Pytam, czy zrozumiałeś.

Rolkarz cały czas zastanawiał się, czy to ukryta kamera albo psikus kolegów z pracy. Jednak pewien demoniczny rodzaj surowości, którą wyczytał z oczu Zemilskiego, kazał mu przyjąć do wiadomości, że wszystko to dzieje się naprawdę. W związku z tym pokiwał tylko głową i naprawdę miał zamiar dotrzymać swojej obietnicy. Był to człowiek przesądny, a cała sytuacja tak bardzo nie powinna się wydarzyć, że mężczyzna był przekonany o jakiejś nadludzkiej, tajemnej sile, która oto teraz nakazuje mu jeździć na rolkach w smokingu.

Dlatego, kiedy wyjechał ze sklepu, ubrany w smoking, mimo potwornego upału i faktu, że zapłacił z własnej kieszeni, był ogromnie zadowolony. Zemełka i Zemilski patrzyli za nim jak odjeżdża tanecznym krokiem i zastanawiali się, czy wszystko poszło tak, jak chcieli. Uznali, że owszem. Mężczyzna był przecież nareszcie ubrany i doskonale elegancki.

Anna Zemełka nie czyniła aktów odwetowych z potrzeby zemsty czy wykreowania swojej siły i przewagi nad resztą. Potrzeba ta wynikała z czegoś odwrotnego, z rozpaczliwego pragnienia zachowania swojej wrażliwości. Z dnia na dzień dorastająca Zemełka obrastała pancerzem, który kiedyś wrażliwą, czującą świat wszystkimi porami dziewczynkę zamieniał w nastolatkę i potem młodą kobietę, która niczemu się nie dziwiła, nikogo nie lubiła i odwracała oczy, żeby nie widzieć brzydoty świata i ludzi. Karmiła się sztucznymi szczęściami bohaterów amerykańskich filmów, co nie miało niczego wspólnego z trudną urodą świata i ludzkiego życia. Dopiero kiedy zaczęła brać odwet, stopniowo odzyskiwała czułość dla ludzi. Mierzyła się ze złożoną naturą złą i dobrą, uczyła się, że w każdym dobru jest trochę egoizmu, a w każdym źle trochę szlachetnych początków. Nie sposób być czystym i sprawiedliwym, natura świata nie daje takich możliwości. Trzeba przyjąć na siebie winę za swoje wszystkie dobre uczynki.



Za to Zemilski był po prostu superbohaterem. Był nim w swojej podświadomości, a świadomie od dziecka lubił komiksy i tęsknił za idyllą, kiedy to spędzał czas na podwórku dziesięciopiętrowego bloku i dzielił wszelkie sprawy na dobre i niedobre. Bawił się w rycerzy i herosów. Podobało mu się, że postaci, które odgrywał, nie były lalusiami, mógł udawać, że kogoś zabija lub przynajmniej masakruje swoją gigantycznie silną pięścią, ale czyni to w imię dobra. W prosty sposób załatwiał sprawy, nad którymi nie było sensu nadmiernie się zastanawiać. Złe uczynki i brzydkie zachowania powinny być ukarane. Zemilski nigdy, nawet do dnia dzisiejszego, nie rozmyślał nad złożoną naturą dobra i zła, nad półcieniami i wzajemnym przenikaniem tych dwóch przeciwnych postaci. On po prostu wciąż pragnął świata, gdzie można odróżnić dobre od złego i zabrać w tej sprawie superbohaterski głos. Widać Anna Zemełka nie miała nic do roboty, bo przesiedziała przy barze do trzeciej nad ranem.

– No, Anka, zamykamy.

– Nie widzi pan, że nie wypłam?

– Wypijesz po drodze. Chodź.

Zemilski zabrał z półki najdroższe czerwone wytrawne i wyszli. Ku jego zdziwieniu Anna Zemełka czekała karnie, kiedy zamykał drzwi na pordezwiątałą kłódkę, włączył alarm i zaciągał rolety. Trwało to wszystko niebywale długo, ale ona była cierpliwa. To zaciekało Zemilskiego. Dlaczego taka kobieta jak ona czeka na takiego gościa jak on? Potem ruszyli przed siebie. Kiedy mijali skwer, usiedli na ławce. Nic nie mówili, co Zemilskiemu bardzo się podobało. Miał dość klekoczących bez sensu ludzi. Otworzył butelkę i podał Annie Zemełce. Bez słowa sprzeciwu pociągnęła tyk z butelki i to spodobało się Zemilskiemu jeszcze bardziej niż jej milczenie.

Wreszcie Zemilski zabrał głos.

– To ty miałaś męża, Anka?

– Miałam, niech pan sobie wyobrazi. Ale mnie rzucił.

– Ciebie? Co za typ. Dlaczego?

– Bo ja bardzo nie chciałam, żeby mnie rzucał.

Zemilski milczał, zastanawiając się, jak wielkiego idiotę chce teraz z niego zrobić ta dziwna kobieta.

– On się mnie bał. Cały czas mu się wydawało, że jest gorszy ode mnie.

Rozumie pan? Że przegrywa. Uznał, że jedynym sposobem, żeby wygrać, jest porzucenie mnie. Ja go kochałam, ale on w to w ogóle nie wierzył. No to przestałam.

Milczeli chwilę. Zemilski patrzył jak Zemełka pije z butelki i ociera usta wierzchem dłoni. Z gracją, jak dama, która ziewa, ale jednak ocierała wierzchem dłoni. Cieszył się, że nie jest perfekcjonistką, jak się początkowo obawiał. Perfekcyoniści nie potrafią się z nikim wiązać, choćby nie wiadomo jak chcieli. Nigdy im nie wychodzi. Jak na zawołanie Anna Zemełka odezwała się.

– Wie pan, ja nawet mogłabym pana pokochać. Wydaje mi się, że pan jest osobą, na którą czekałam.

– No to może w końcu się doczekaliśmy?

Wszystkie tamte lipcowe noce były ciepłe, powietrze można było mieszać ręką jak nagrzaną wodę w jeziorze. W środku miasta jak oszalałe grały cykady, trawa była miękka, ziemia sucha. Kiedy od czasu do czasu zrywał się ciepły wiatr, szumiąły drzewa, w kojący, dobry sposób. Noc była porą, kiedy w mieście przyroda przejmowała stery, wychodziła na pierwszy plan i rozdawała uważnym swoją czułą, lecz nie kliwą obecność. Zemełka i Zemilski dobrze to rozumieli.

### ROZDZIAŁ III

– Mam to w dupie, niech się nauczy żyć z ludźmi, bo inaczej ją posra na tym świecie! – rzucił wściekły Zamilski, kiedy usłyszał, że dziewczyna od noszenia szklanek boi się zabrać puste szklanki Szwedom, a konkretnie boi się, że coś do niej powiedzą w obcym języku.

Dziewczyna wstydziła się po prostu, ale Zemilski nie miał dla niej litości. Musiała pójść i pozbierać szklanki, uśmiechając się krzywo do Bogu ducha winnych Szwedów, tak zresztą zajętych rozmową, że żaden nawet jej nie zauważył. Dziewczyna

odetchnęła z ulgą i szła znacznie już weselszym krokiem w stronę kuchni. To był jej pierwszy dzień pracy i przerażało ją wszystko, a najbardziej Zemilski. Kiedy mijają bar, Zemilski spojrzął na nią z aprobatą, a nawet pewnym rodzajem dumy. Ale zaraz zmienił wzrok na obojętny, gdy dziewczyna odruchowo spojrzała na niego, bo wyczuła na sobie wzrok zza baru. Miała na imię Karolina i w rzeczywistości wcale nie była taka nieśmiała, ale obecność Zemilskiego ją paraliżowała. Anna Zemełka wybrała pieniądze z bankomatu, jednocześnie zauważając przytomnie, że życie z oszczędności niedługo dobiegnie końca. Nie chciała wracać do prawdziwego życia, ten urlop bardzo jej odpowiadał. Ale pieniądze topniały. Poszła po kawę w plastikowym kubku do kawiarni obok parku, potem weszła za bramę i szła główną aleją. Ptaki śpiewały, drzewa stały majestatycznie. Park ją uspokajał, zakorzeniał odpowiednio w urlopie od doraźnej rzeczywistości. Na ławce, na której zwykle siadała, przycupnęła stara siwa kobieta. Anna Zemełka zawahała się, ale zaciekawiło ją, że stara wyglądała bajkowo. Miała całe białe włosy, długie do pasa, zebrane w cieniutki warkocz. Do tego sukieneczka o przedwojennym kroju, w drobnutki kolorowe kwiaty.

Zemełka zdecydowała się usiąść obok. Kubek parzyło, dlatego zaczęła się bawić, grała na nim jak flecistka, zmieniała palce, którymi podtrzymywała kawę, wytrzymywała aż do momentu, kiedy opuszki parzyło boleśnie i wtedy zmieniała palce. Zaczęła się zastanawiać, jaką melodię grałaby, gdyby to był instrument. Grała na kawie, a kątem oka obserwowała starą. Była spokojna i nieruchoma. Nic nie robiła. Po chwili zagadnęła:

– Poczesałaby mi pani włosy?

Zemełka spojrziała zdziwiona, zastanawiała się nawet, czy kobieta nie mówi do telefonu. Ale mówiła do niej. Uśmiechnęła się przyjaźnie i wyjęła z malutkiej sfatygowanej torebki grzebień z rzadkimi zębami.

– Lubię jak mnie ktoś czesze. To takie przyjemne.

– Tak, ja też to lubiłam, jak mnie mama czesała.

– Ja to dalej lubię. Poczesze mnie pani? Przepraszam, że taka prośba, ale pani

chyba i tak nie ma nic do roboty. Był to argument trudny do zbiccia, zresztą Zemełka nie miała nic przeciwko spełnieniu niecodziennej prośby. Jednak przez chwilę wahała się. Dotykanie czyjejś głowy, włosów to zajęcie intymne. Niekoniecznie erotyczne, ale intymne z pewnością. Czy powinna dotykać włosów obcej kobiety? Czy nie przyprawi jej to o obrzydzenie przy pierwszym dotyku, a wtedy będzie już niezręcznie się wycofać? Kim była ta kobieta? Jak bardzo musi być samotna, jeśli chce, by ktoś obcy czesał jej włosy, a to oznaczało ukojenie, wspomnienie dzieciństwa lub kogoś ukochanego, spokój. Zemełka zastanawiała się tylko przez chwilę, teraz nie przejmowała się zanedbanym, a jeżeli może przynieść komuś ukojenie, to właściwie dlaczego ma tego nie zrobić? Rozplotła delikatnie długie warkocz i zaczęła powoli, miękko czesać starą kobietę. Rozejrzała się. Wokół było trochę ludzi, dzieciaki grały w piłkę i wrzeszczały, matki chodziły z wózkami, mężczyzna w garniturze rozmawiał nerwowo przez telefon i machał wolną ręką. Nikt się specjalnie nie dziwił, że na jednej z ławek siedzi siwa kobieta, którą inna kobieta czesze grzebieniem. Widać nie było to aż tak dziwne, jak się Annie Zemełce z początku wydawało. A nawet gdyby, to co z tego? – Bo wiesz, dziecko – powiedziała flegmatycznie stara kobieta – ja całe życie mieszkalam na kresach. Myśmy tam na jednej ulicy z Ukraińcami przed wojną żyli. Lubili, pomagali, chodzili do siebie, dzieci nawzajem karmili i pilnowali. A po wojnie to niektórzy oszaleli. I w wojnę też, wiadomo. Jak się już skończyła, to jeden z naszych poszedł do ukraińskiej rodziny, myśmy ich przecież znali dobrze, dzieci się razem bawiły, i pozabijał ich wszystkich. Wrócił ze służby i dowiedział się, że u nich syn jeden wielu naszych powyrzynał. I to była prawda, ale czemu on całą rodzinę wystrzelał? Dzieci tam były, z naszymi się lubiły bawić. Wiesz, dziecko, jak się tak z bliska przyglądasz, na przykład tamtej naszej ulicy, to wtedy to wszystko jest jak lina. A potem nie było Ukraińców, bo ich przesiedlili i na to Polacy przyszli, powprowadzali się do ich domów. Ta nasza ulica tam dalej jest, ale całkiem inna teraz. Ja już nikogo łatwo nie oceniam, nie umiałabym, a jak byłam w szkole, to oceniałam koleżanki raz dwa, bo nic nie wiedziałam jeszcze, oj, nic. Teraz

u córki mieszkam.

Zamilkła, jakby chciała odpocząć po tym potoku słów, który z siebie wyrzuciła.

Zemetka postanowiła zrewanżować się opowieścią, zresztą od rana chciała komuś o tym powiedzieć:

– A ja mieszkam w sadzie. To prawda i nieprawda. Mieszkam w centrum miasta przy ruchliwej ulicy, ale wśród drzew i krzaków. Kiedyś była tu wioska i sady. Wkoło budynków rosną dziczące drzewa owocowe i krzaki, i kwiaty. Ktoś miłosiernie nie wyciął starego sadu. Ten sad był tu pierwszy. Przed moimi oknami rośnie mirabelka i zwykła fioletowa śliwa, czereśnia. Zaraz na wyciągnięcie ręki. Mirabelka kwitnie pierwsza i jej owoce szybko lądują na trawie. Zaraz są błyskawicznie wyzbierane. Stara śliwa węgierka ma inaczej. Kwitnie dłużej i nie tak łatwo zrzuca owoce, a wiele z nich jest naprawdę wysoko na gałęziach. Przez okno widzę ten mój sad. Kilka metrów ode mnie rozgrywa się urocze widowisko. Codziennie, o rozmaitych porach, ktoś przychodzi po śliwki. Nie ma w tym nic złego.

Śliwki leżą na trawie i zaraz zgniją. Pierwszy był starszy pan, dobrze przygotowany. Przyszedł z reklamówką z Tesco. Miał ją w kieszeni, starannie złożoną w kostkę. Wyjął ją, wyprostował i zaczął zbierać śliwki. Mało leżało, więc potrząsał mocno drzewem i sporo śliwek spadło mu na głowę. Wybierał. Nie był speszony, chyba urodził się na wsi i – w przeciwieństwie do mnie – za bardziej naturalne uważał zbieranie śliwek z trawnika, niż kupowanie w warzywniaku. Przecież po to leżą. Prawda? Była młoda kobieta, która nie przyszła specjalnie, po prostu przechodziła tędy, ale nagle zauważyła śliwki. Przystanęła, rozejrzała się jak szpieg i po chwili wahania przeszła przez żywopłot. Pozbierała kilka śliwek do kieszeni, nie miała w co więcej napakować. Pewnie zjadła je po drodze, więc może dobrze, że nie wie, że tam lubi sikać suczka mojej sąsiadki. Była matka z niemowlęciem, która na chwilę porzuciła na chodniku wózek i był tata z synem. Mały trochę się krępował, nie wiedział, czy można, czy to w ogóle się je, tak z ziemi, z drzewa, to dziecko z pokolenia, które myśli, że mleko bierze się ze sklepu. Od kilku dni obserwuję ten zbiór śliwek. Czasem chowam się trochę, żeby nie speszyc i nie zawstydzic zbieraczy.

Dają im komfort szabrowania, szczególnie gdy zachowują się jak złodzieje, choć przecież to jest sad ogólnoludzki. Bardzo to jest ładne widowisko, wie pani? Lubię myśleć, że kiedyś stał tu czyjś drewniany dom.

Jakaś rodzina jadła przy krzywym stole w ogrodzie. Dziadek siedział na schodkach, wnuki goniły się jak szczeniaki pod śliwą i podjadały mirabelki. Wie pani, nie daje mi spokoju, że ktoś tu przede mną mieszkał w tym sadzie. Zemełka zamilkła. Stara także już się nie odezwała. Zapanowała cisza tak grobowa, jakby stara kobieta niczego wcześniej nie mówiła. A teraz nie patrzyła nawet na Annę Zemełkę, tylko przed siebie, jakby jej nie widziała, jakby Zemełka była powietrzem.

Anna Zemełka zaplotła z powrotem warkocz starej i oddała jej grzebień. Ta przyjęła grzebień bez słowa i jakby bez zainteresowania. Siedziały w milczeniu. Kiedy kobieta poprosiła Annę Zemełkę o dzisiejszą gazetę, ta poszła do kiosku i kupiła ją. Jednak stara nie czytała gazety, tylko wachlowała się nią w zamyśleniu, patrząc na dwa łabędzie pływające po stawie. Anna Zemełka chciała w jakiś sposób ulżyć wyczuwanej samotności kobiety, ale szybko zrozumiała, że ta samotność jest na miejscu, a ona, Anna, tylko tu zawadza.

Bo audycja już się skończyła, stara kobieta powiedziała Zemełce wszystko, co miała jej do powiedzenia. Zemełka wstała więc z ławki i odeszła dyskretnie, bez pożegnania. Stara nawet tego nie zauważyła, a może nie chciała zauważyć, żeby przypadkiem Anna Zemełka nie zmieniła zdania i znowu obok niej nie usiadła. Anna Zemełka szła lekko chodnikiem, machała swoją niedużą torebką na pasku. Dobrze jest czasem zawiesić się w swoim życiu, zrobić przerwę, prosząc o czas jak trener piłkarski. Wszystko się wtedy widzi inaczej, jak przez lunetę, a czasem jak obraz Picassa albo przez kalejdoskop. I zezwala się dziwnym zdarzeniom, żeby nas spotkały. Zemełka ostatnio pozwalała im, kiedy była w szkole. Miała wtedy sporo czasu, żeby marzyć i żeby się nudzić. A ponieważ świat wydawał jej się wtedy nierealny, przyglądała mu się z niemal wiecznym zdziwieniem, które notowała w naiwnym dziewczęcym pamiętniku. Teraz, po raz pierwszy od lat, znowu się nudziła i pozwalała sobie na dłuższe przyglądanie się. Dlatego właśnie, była tego

pewna, przytrafiały jej się te niecodzienne historie. Miały jej przyzwolenie. Zemełka czuła się obco, miała poczucie nieprzynależności do tego miasta, w którym się przecież urodziła. Jakby była przybyszem z daleka. Jakże ją wszystko dziwiło.

Kiedy mijąta nieduże bistro z falafelami, zauważyła, że stoi tam gromada gapiów. Przed budką ktoś umieścił dwa miernej jakości stoliki i plastikowe składane krzesła. Przy jednym z nich siedziała rodzina, która jadła swoje falafele i niemo gapiła się na stolik obok.

Na stolik obok gapili się również stojący na chodniku ludzie. Szturchali się, podśmiechowali albo po prostu wpatrywali z minami tępych mumii.

Anna Zemełka podeszła bliżej. Przy stoliku sąsiadującym ze stolikiem rodziny siedział mężczyzna w średnim wieku. Właściwie trudno powiedzieć, że siedział. Mężczyzna zaklinował się w krzesło, które, gdy na nim usiadł, złożyło się i więziło go teraz złożonego w pół, z wiszącymi jak makarony nogami, a cały wyglądał, jakby był serem w kanapce. Nie miał możliwości ruchu, nie był w stanie wydostać się z potrasku bez pomocy i wyglądał żałośnie komicznie. Mężczyzna wydawał się potwornie zawstydzony, odwracał wzrok i faktycznie marzył już tylko o tym, by ci ludzie sobie poszli. Właściciel bistra zniknął w głębi lokalu i nie miał pojęcia, co się dzieje. Chodnikami szły trzy nastolatki i zachichotały nieprzyjemnie piskliwie, zakrywając dłońmi usta. Nie zwolniły nawet kroku, poszły dalej. Nikt nie ruszał się, żeby pomóc uwięzionemu w krzesle mężczyźnie.

Anna Zemełka stanęła w grupie gapiów i przyglądała się im równie ciekawsko, jak oni przyglądali się zakleszczonemu facetowi. Potem podeszła do człowieka, który wyglądał jak kanapka i stanęła obok niego. Omiotła wzrokiem gapiów z jego perspektywy.

– Nieprawdopodobne, prawda? – zagadnęła zakleszczonego człowieka. – Stoją i się gapią. To nie jest normalne, nie uważa pan?

– Nie jest – wydukał zaskoczony mężczyzna. Usiłował spojrzeć na Annę Zemełkę, ale trudno mu było obrócić głowę.

– Ciekawe o czym myślą? O tym, co by zrobili na pana miejscu? Co zjedzą na obiad?

Jakie mają idiotyczne miny, kiedy tak się gapią?

Zemełka spojrzała na ludzi. Niektórzy spuścili wzrok. Inni odeszli, udając, że wcale tu nigdy nie stali. Jeszcze inni patrzyli wrogo albo bezczelnie, a pozostali z czystym zainteresowaniem widza, bo oto w spektaklu pojawiła się nowa, interesująca aktorka. Co ciekawe, wśród gapiów stał Kamil Kajnel, znany w pewnych kręgach działacz pozarządowy, który ciągle zbierał podpisy pod petycjami. Teraz także dzierżył plik kartek, zakleszczony facet trafił mu się podczas snucia ulicą i nagabywania przechodniów o podpis w niewątpliwie słusznej sprawie. Kamil Kajnel nie był po prostu dobry w detalicznym nieszczęściu, on był specjalistą od nieszczęść zbiorowych.

– Wie pan, że zaczynam ich lubić. Ja chyba nie miałabym siły woli, żeby tak stać i ani drgnąć. Musiałabym coś zrobić, chociażby podejść i z panem pogawędzić.

Jak się pan czuje?

– Bywało lepiej – odparł coraz bardziej zirytowany mężczyzna.

Zastanawiał się, dlaczego ta wariatka go dręczy i czemu, na litość boską, skoro tak jest przejęta jego losem, nie pomoże mu wydostać się z potrzasku? Jej dywagacje ośmieszały go jeszcze bardziej. Nawet zaczął jej nienawidzić i podejrzewać, że jest taka sama jak reszta gapiów, że po prostu się z niego naśmiewa. Anna Zemełka faktycznie dopiero w trakcie swojej tyrady zdała sobie sprawę, że facet wciąż jest kanapką. Szybko oceniła sytuację, nic mu się nie działo, a na durniach, stojących przed nią, robiło to jednak wrażenie, gdy ona ich oskarża w obliczu zatrzaśniętego w krzesle, a oni tkwią jak tyczki w miejscu. Nie o teatralny tryumf tu chodziło, ale o to, żeby zrozumieli, jacy są brzydcy i jak kompletnie nic tej brzydoty nie usprawiedliwia. Zemełka przeczuwała, że być może przekroczyła granicę, bo być może za bardzo przejęła się durniami, a nie ofiarą. Przyjęła jednak swoją słabość jako całkiem prawdopodobną, rzekła sobie no trudno, tego wymaga sytuacja, i tym razem postanowiła zwrócić się do tłumu, wciąż ignorując niewygody człowieka-kanapki.

– Hej, nie chcielibyście czasem pomóc temu panu? Nie przyszło wam to do głowy?



Pytam z ciekawości – przemówiła do ludzi, z których większość nie miała zamiaru odpowiadać na tak nachalne pytania.

– Ale on jest śmieszny, chcieliśmy się pośmiać – zadrwił bezczelnie nastolatek.

Koledzy zaczęli mu wtórować, rechocząc.

– I tyle kobiet się gapi. Nie wiem jak kobiety mogą nie pomóc – oceniła Zemełka głosem pełnym dziecięcego zdziwienia.

Zemełka uważała, że kobieta jest kimś szczególnym. Nigdy nie domagała się równości między płciami, była dumna z różnic, a przy tym i tak czuła się równa. Równa, ale inna.

Nie lubiła kobiet udających korporacyjne szurki, nieczułych na ludzki śmiech i krzywdę. Anna Zemełka uważała, że kobieta jest po to, by czynić świat dobrym i pięknym miejscem. Tak samo jak uważała, że to kobieta odpowiada za wygląd mieszkania, to ona ma je urządzić w sposób, który przyciąga, otula i koi. Dlatego niczego tak nie pragnęła jak całkowitej zmiany wystroju baru Zemilskiego, ale nie śmiała mu nawet proponować ingerencji w jego zakurzoną rupieciarnię. Była staroświecka, lubiła gospel i opowieści murzyńskich niewolników, a także te duże krągłe mammy, tęskniła do ich kobiecej starej mądrości. Dlatego być może Anna Zemełka bardziej była niezadowolona z kobiet niż z mężczyzn, których nie traktowała zbyt poważnie. Tylko niektórych poważała, wybranych i wyjątkowych, wyłuskiwanych starannie z tłumu prezentującego się niczym białe smutne ciasto. Wreszcie tysawy facet, który stał ze schludnie ubraną żoną, nie wytrzymał. Podszedł do krzesła i uwolnił mężczyznę. Odwrócił się od razu i odszedł chodnikiem, a żona za nim. Jakby wstydził się tego, co właśnie zrobił. To samo zrobił zakleszczony człowiek. Uciekł czym prędzej. Na polu bitwy została tylko Anna Zemełka, która nie miała już ani do kogo tu przemawiać, ani z kim gawędzić, w związku z tym ona także poszła w swoją stronę. Czyli do baru Zemilskiego.

Anna Zemełka musiała stać się twarda, bo tak jej kazał los. Od dzieciństwa zajmowała się sama sobą i starała się utrzymywać niezdatną matkę, która samotnie

wychowywała ją i jej młodszą siostrę. Potem nastąpił niebywały czas, gdy Zemełka miała męża, a on ją kochał. Roztoczył nad nią nienachalną, skuteczną opiekę, tak że Zemełka mogła oddychać swobodnie i niczego się nie bać. To był piękny i dobry czas. Teraz jednak była sama, zdana na siebie. Tak jej przydzielił los. Żyła więc z oszczędności, które zgromadziła, kiedy pracowała dla zagranicznych koncernów. Była niemal wybitną specjalistką w swojej dziedzinie, bez kreatywnego szaleństwa, ale zdolna i rzetelna na tyle, by zarobić sporo pieniędzy przed porzuceniem pracy. Samotne kobiety muszą być twarde, żeby przetrwać. Nie mają wyjścia, potrzebują szybko wyzwolić się z delikatności i tak uwielbianej przez mężczyzn naiwnej życzliwości do świata, kruchych dłoni, blond cieniutkich włosów i tego uśmiechu, który rozleniwia i wszystko wybacza. Może by nawet chciały tej bańki mydlanej jeszcze i jeszcze, ale ona jest tylko zmyśleniem, a samotne kobiety nie mają dla kogo zmyślać, za to muszą przetrwać. Dlatego stają się twarde. Nie dajcie się jednak zwieść. Większość kobiet jest czuła i wrażliwa, kocha i chce się opiekować, rozdawać dobroć. Teraz jednak czynią to ukradkiem, jakby robiły coś nielegalnego i nie chciały zostać na tym przyłapanie. Zwykle zaczynają oddawać się męskim rozrywkom, do których od zarania wieków należy siedzenie w pubie nad whisky, bo nie ma dokąd pójść. Jako kobiety bez pary nie są już nigdzie zapraszane, nie tam, gdzie były dotąd, na wesela, imieniny, babskie wieczorki dla żon, chrzciny, a nawet rodzinne obiady. Samotne kobiety nie są lubiane, bo są same, bo są twarde jak mężczyźni i zaradne, bo zdaje się, że nikogo i niczego nie potrzebują, a także nie mają wdzięku pensjonarek. Lepiej byłoby, zdaniem niektórych, gdyby zamieniły się całkiem w mężczyzn albo dały się zdusić okrutnemu światu, lojalnie tkwiąc w banieczkach mydlanych z subtelnie odchylną w bok i do tyłu kształtną głową czulej biedroneczki. Kiedy Anna Zemełka przyszła do baru i zamówiła „jakiś koktajl, niezbyt mocny, gorzki, coś, czego tu jeszcze nie piłam”, zauważyła zdenerwowaną młodzieńką blondynkę, Karolinę, która zbierała szklanki i co chwila z przerażeniem zmieszonym coraz wyraźniej z butą zerkała w stronę Zemilskiego. Była to niedawno zatrudniona pracownica, świeża jak stokrotka i energiczna, która jednak karłała

pod wzrokiem Zemilskiego i nie potrafiła tego ani zrozumieć, ani opanować.

– Co pan jej zrobił?

– Dziecko – odparował Zemilski bez zastanowienia. – Nic, a co jej miałem zrobić? Anna Zemełka podejrzewała, zresztą zupełnie słusznie, że Zemilski poczuł sympatię do Karoli, inaczej przecież by jej nie zatrudnił, ale jednocześnie w charakterystyczny dla siebie sposób jej nie cierpiał, bo przypominała mu jego samego. Była nieokrzesana jak źrebię, robiła głupstwa, bo nie mogła się powstrzymać, ale miała głowę na karku. Rozkręciła sklep internetowy z ciuchami, które projektowała i nieźle jej to szło. Zarabiała na nim więcej niż na kelnerowaniu, które traktowała raczej jako hobby pogłębiające jej życie seksualno-towarzyskie.

Karola była jak dziewczyna, która wskakuje do wody z piskiem, potem wynurza się ze śmiechem, prycha i potrząsa głową, i w najzwyczajniejszy, w najzdrowszy sposób czerpała z życia, jeśli tylko oferowało jej coś godnego uwagi. Była ciekawska, więc eksperymentowała z mężczyznami, potrawami, studiami. Trzy razy zmieniała kierunek, ale nawet jej rodzice przyznali, że córka trafnie – i nędznie – oceniła poziom studiów i całe szczęście nie chciała tracić czasu na wtórną wiedzę i słuchanie nieudolnych docentów. Mało kto wiedział, że Karolina była wybitnym mózgiem ścisłym, studiowała w kolejności: matematykę, informatykę, robotykę-mechanikę. Ta dziewczyna miała talent, ale nikt nie chciał po niego sięgnąć i nikt go nie zauważał. Wszyscy widzieli jedynie blond włosy, krótkie pod tyłek szorty, poziomkową minę i że się puszcza. Jakby to oraz źrebaczy brak życiowej powagi w jakikolwiek sposób wykluczały zdolności akademickie. Nieco podobnie rzecz miała się z Zemilskim, który snuł się po życiu niewykorzystany, choć trzeba uczciwie powiedzieć, że nigdy nie był utalentowany z matematyki ani żadnego innego przedmiotu, którego usiłowali go nauczyć w szkole.

Karola z kolei nie znosiła swojej współlokatorki, która była buddystką i urządziła w pokoju studio masażu holistycznego. Wyznawała miłość do wszystkiego, nikogo nie oceniała i nie nienawidziła. Karola uważała ją za arogancką i beczelną. Twierdzić, że się wyzbyło całkowicie niechęci do ludzi i świata może tylko ktoś

bardzo głupi albo bardzo zarozumiały. Karolina nie wiedziała, co tej 25-letniej dziewczynie kazało twierdzić takie bzdury. Tym bardziej że oczywiście, jak każdym człowiekiem, targały nią rozmaite emocje, od gniewu, przez pożądanie, po zawiść. Ale to było w porządku. Nie w porządku było to, że współlokatorka wcale nie próbowała z tymi emocjami walczyć czy się układać albo chociaż je zauważyć. Ona je miała, rozpasane jak dzikie kozy, a tymczasem bezczelnie twierdziła, że wcale ich nie ma. I właśnie tej arogancji Karola znieść nie potrafiła. Co więcej, pod wpływem fałszywego miłosierdzia buddystki, stała się radykalną wyznawczynią hasła „oko za oko, ząb za ząb“, a i tak, co twierdzili niemal wszyscy jej znajomi, była zdecydowanie bardziej miłosierna, empatyczna i czuła, niż jej oddana miłości do wszystkiego współlokatorka. Młoda dziewczyna ma w sobie tyle pięknych sprzeczności. Mała dziewczynka nie. Ona jeszcze ma w sobie całą doskonałą siebie. Szumi w niej woda w źródółku. I jest tam przyjemnie, nie zimno, nie gorąco. Nie ma tam niepokoju i wstydu. Zachwyty to są kropki. Tu kwiatek, tu mrówka, tu błoto, tu chmura, tu ptak i kredka w kolorze maliny. Śmiech głośny, niepohamowany. Sukieneczka, wytrzeć o nią ręce z błota i dalej być damą. Wszystko się zgadza i do siebie pasuje. Dotknąć pomidora i zapamiętać zapach psa. Przytulić jego wielki łeb. Kokietować. Od razu kokietować i widzieć, że to działa. Mieć moc. Mieć skarpetki i sukieneczkę. I poznawać świat zachłannie, wpychać sobie wszystko do ust i wypluwać ze śmiechem, i bez skrępowań być dziewczynką. No i ten bezwstyd. Kiedy ma dwanaście lat i kocha wszystkich gwiazdorów bez opamiętania. Obwieszcza, całuje zdjęcia i zaklepuje go na męża, z którym się nie wynudzi w podróży do Buenos Aires. Hiperkobiecy czas, kiedy sięga szczytów bezwstydu w byciu dziewczynusią, kokietką z kucykiem, kiedy nie wyrzeka się miłości do różu i brokatu, i tych głupiutkich piosenek układanych dla głupiutkich dwunastolatek. Bo to są piosenki, które są głupiutkie i wszyscy o tym wiedzą. One nie są przejęte oceną świata, one znają te piosenki na pamięć i śpiewają w autobusie. Tyle wzruszeń, tyle ciepłych uczuć. Lecz to przecież tylko chwila i potem zrywa różowe plakaty i idzie w świat, niosąc siebie na poduszce, wioząc na rowerze, z pomal-

wanym na czerwono, obgryzionym jednym paznokciem, bo jeden wtedy całkiem wystarczy. I jest ten strzał w serce, po którym jest nie rycz. Nie rycz. Przecież ci mówił, że jest łobuzem, dzień dobry, jestem łobuzem, a ty powiedziałaś, no wiem właśnie, zapraszam.

I potem nie ma się co mazgać. Łobuz powiedział, będę łobuzem, nie myśl sobie za dużo. Ale wszystkie dziewczyny myślą sobie za dużo, a wszystkie łobuzy o tym wiedzą. Tylko udają głupich łobuzów. I kiedy ta gra się kończy, łobuz jest zdenerwowany, że ona ryczy i czuje się oszukana. Przecież mówił, że ją oszuka. To była dziewczyna w sam raz do oszukania i on był w tej kwestii szczery. Nie ma sobie nic do zarzucenia i potem idzie do tej innej dziewczyny, która jest z dobrego domu i nadaje się na prawdziwą dziewczynę, której się nie oszukuje. Nie tak od razu, a w każdym razie nie mówi się jej tego ot tak, bez woali, że się ją oszuka. W ogóle się o tym nie wspomina. Tej innej dziewczynie daje się miśka, hamburgera i pojeździć, zjeść swoje frytki i nie wolno jej obgadywać. A ty nie rycz. Nie rycz. I dziewczyna nie ryczy.

Bardzo szybko zaczyna się świat, który jest, bez kłamstwa, męski. I świat ten mówi dziewczynie, że jest naiwna i głupia, śliczna. I świat się o niej wypowiada jak o cielaku, z którego można i mięso zrobić, i futerko dla sezonowej ukochanej na zimę. A dziewczyna czuje, że ma w sobie mądrość i źródlaną wodę, trudną do chwycenia. I jedno, i drugie, ale nikt tego nie widzi i nikt tego nie chce. Wszyscy chcą, żeby zdecydowała, czy będzie szyła i powleczone materiałem guziki obracała w palcach, czy raczej będzie dłubała w strupie na kolanie. I dziewczyna nie chce być bezrozumnym kożuszkiem, dlatego staje się prorektorem i młodszym inżynierem, kierownicą wózka widłowego. Mówi ich słowami, pogardza tym co oni, wysławia to, co oni wysławiają. I zaraz się w tym świecie, w którym się znalazła, zadomawia. Już się nie boi, bo już się czuje na miejscu. Idzie w chwale i z pochwałami na ramionach, i nie chce się przyznać sama przed sobą, że coś zapodziała. Że nie wie, gdzie w niej teraz jest ta mądrość i ta woda źródłana. Nie może nawet o nich mówić, bo nie wolno używać słów uważanych za infantylne i śmieszne, nie może ich mówić i śmiesznie

czuć także jej nie wypada. To wszystko mrzonki głupich ciż. I potem dziewczyna zostaje dyrektorem. Kłaniają się jej w pas, a ona zapisuje potomstwo do francusko-amerykańskiej szkoły. Unika jak ognia starych wiejskich kobiet, bo one mają mądrość i wodę źródlaną, i nie dbają o to, że jakiś minister albo prorektor je za to wyśmiej. Prawdę mówiąc, w ich okolicy nikt nie śmiałyby się śmiać. A drzewa i kwiaty kłaniają im się w pas.

Anna Zemełka sączyła koktajl, Zemilski gawędził niezobowiązująco z klientami wiszącymi na barze, a Karola kręciła się po lokalu, zbierając puste szklane naczynia. Kładła misterne kopczyki na okrągłą tackę z aluminium, zdobioną wåtpliwej urody herbem ogólnonarodowego browaru. Kiedy już uskładała pięć takich kopczyków i rozłożyła je równomiernie na tacce, podniosła to wszystko i sunęła w stronę kuchni, zerkając to na dzwoniące z każdym krokiem szklanki, to na drogę, którą torowała sobie niegłośnym, ale stanowczym „przepraszam, przepraszam”. I wszystko skończyłoby się pewnie dobrze, gdyby nie to, że siedzący przy barze żyłasty łysolek w za krótkich spodniach w kantkę i piaskowej wiatrówce nie wysunął ścierpniętej nogi, i zupełnym przypadkiem nie podstawił jej Karoli. Dziewczyna widziała nogę, ale było już za późno, runęła jak długa, a kopczyki z brudnych szklanek wystrzeliły do góry jak talie kart, by zatrzymać się w locie wysoko i zaraz zacząć spadać z brzdękami na podłogę. Lecz jedna talia wycelowwała wprost na siedzącego obok winowajcy klienta, człowieka o spokojnych rysach twarzy i ciele harmonijnie wyrzeźbionym. Szklanki posypały się na niego, nabijając mu guza, brudząc białą koszulę i przecinając niegroźnie przedramię. Krew wywołała panikę. Karola zatkała sobie obiema dłońmi uszy jak małpa. Rozmowy zostały urwane, a Zemilski przytomnie przyłożył do krwawiącej rany papierową serwetkę. Krew wsiąkała w nią nieobficie, nie było powodu do paniki.

– Przepraszam! Bardzo pana przepraszam! – a jednak Karolina była w panice.

– Nic się nie stało. Raz na wozie, raz pod wozem – rzekł spokojnie człowiek z raną na ręce. Był to osobnik, który zawsze wszystko wybaczał.

– Jak się nie stało? Przecież się stało! – zaprotestował siedzący obok brunet

z gęstymi włosami na rękach i szyi. Człowiek ten miał wiele kategorycznych teorii i dotyczyły one wszystkiego.

– To moja wina, oj moja – potulnie oznajmił ten, który podstawił nogę i który zawsze czuł się winny.

– Dlaczego pana? – wtrącił się Zemilski.

– Bo podstawiłem nogę.

– Specjalnie podstawił. To atak na kobiety – skwapliwie orzekł fanatyk z owłosionymi rękami.

– Dlaczego na kobiety? – zdziwiła się Zemełka – przecież Karoli nic się nie stało.

– Podstępem została wmanewrowana. Nie z własnej woli zraniła niewinną ofiarę. Ten człowiek musi nienawidzić kobiet – fanatyk spojrział oskarżycielsko na człowieka, który zawsze czuł się winny.

– Co też pan wygaduje? – zapytał nie oczekując odpowiedzi człowiek, który wszystko rozumiał i wybaczał, jednocześnie przyciskając serwetkę do swojej coraz mniej krwawiącej ręki. – To przecież był wypadek. Wypadki chodzą po ludziach. Ani Karola nie chciała mi zrobić krzywdy, ani pan, który przypadkiem podstawił jej nogę.

– Nie ma przypadków, drogi panie. A najmniej przypadkiem jest to, co na wypadek wygląda – fanatyk miał minę człowieka posiadającego dostęp do tajnej wiedzy.

– Przepraszam cię, Karola, że podstawiłem ci nogę. A pana przepraszam, że Karola wysypała na pana szklanki, oj, bardzo przepraszam – rzekł skruszony winny.

– Nic się nie stało, spokojna pana rozczochrana. Człowiek dojrzały umie przebaczać – odpowiedział gorliwie człowiek, który nigdy się nie gniewał.

– Bzdura – zachnął się Zemilski. – Pan nie ma za co przepraszać – powiedział do jednego z mężczyzn. – A pan się gniewa, tylko udaje, że nie – wskazał palcem na drugiego.

– Mam za co przepraszać, oj mam. To, że nie zrobiłem tego specjalnie, nie znaczy, że to nie moja wina, oj nie – winowajca od dziecka lubił obarczać się odpowiedzialnością, sprawiało mu to perwersyjną przyjemność, do której nigdy by się nikomu

nie przyznał. Być może nawet z tej przyjemności nie zdawał sobie sprawy, co jest jeszcze smutniejsze, bowiem doświadczał przyjemności, nic o tym nie wiedząc. Biedny człowiek.

– A czy pan wie, że w ten sposób może na siebie sprowadzić śmierć voodoo?

– zapytał Zemilski z miną fachowca.

– Jak to? – zainteresował się fanatyk, choć to nie dotyczyło go bezpośrednio.

– Jeżeli ktoś upiera się przy wymyślonym poczuciu winy, może sprowadzić na siebie nieszczęście, które będzie karą, na zasadzie autohipnozy. Poza tym maltretowanie się poczuciem winy często ma podłoże narcystyczne i jest przejawem posiadania wybujałego ego. I wtedy człowiek z wiecznym poczuciem winy zaczął zapewniać Zemilskiego, że jego poczucie winy nie jest bezpodstawne, a on sam czuje się odpowiedzialny za przypadkowe podstawienie nogi oraz za swoje wybujałe ego, natomiast facet, który zawsze wszystko wybaczał i rozumiał, gorliwie zapewniał Zemilskiego, że i tym razem rozumie i wybacza. Fanatyk póki co milczał, ale wiadomo było, że szykuje się do wygłoszenia swojej teorii o wszechogarniających świat spiskach. Zemilski znał tych trzech mężczyzn doskonale. Byli stałymi bywalcami baru. Zamilkł już i pozwolił im robić to, co robili zawsze, przekonani o słuszności swych zachowań. Ten, który przeproszał, nie potrafił się powstrzymać i budził żalność pomieszana z sympatią. Już zawsze będzie tak czynił. Ten, który wiecznie porażał wyrozumiałością, nigdy nie przyzna się do swej obłudy. Z jakichś przyczyn nie powie po prostu: jestem zły, bo wylałeś mi na głowę kawę, a potem włożyłeś do nosa dwa papierosy, każdy do jednej dziury. Z kolei Fanatyk zawsze będzie wygłaszał spicze, w których z przekonaniem będzie perorował o jedynie słusznych uzasadnieniach wszelkich zjawisk na kuli ziemskiej i poza nią. Byli nużący. Ale swojscy. W jakiś sposób budzili czułość Zemilskiego, połączoną jednak z irytacją. Tak jak większość osób, które Zemilski darzył jako taką sympatią. Zemałka trafnie oceniła Zemilskiego, kiedy go po raz pierwszy zobaczyła. Bo Zemilski miał czasem poczucie, że jest pastorem. Księdzem oraz przewodnikiem, gospodarzem miejsca służącego do bratania się, jednoczenia, do nauki



bycia wspólnotą. Mało kto już chodził do kościoła, ludzie nie byli religijni, ale coraz bardziej brakowało im bycia razem. Indywidualizm zaszedł tak daleko, że nie budził niczych nadziei. Ludzie chcieli być znowu plemienni, przynajmniej w sobotni wieczór. W pozostałe dni tygodnia i tak nie umieliby wyzbyć się swoich przyzwyczajień, wtopić w tłum, wyrzec potrzeb w imię grupy. Chyba że w pracy, chyba że za pieniądze, chyba że na ustalonych w kontrakcie warunkach. I ponieważ nie mieli gdzie pójść z tą swoją tęsknotą za misterium i za wspólnym przeżywaniem czegoś, przychodzili do baru Zemilskiego, żeby razem z innymi ludźmi pić i palić.

Zemełka przyglądała się temu wszystkiemu z boku. Machała sandałem na obcasie, który zsunęła z pięty i nałożywszy nogę na nogę, huśtała butem bez specjalnych emocji. Zerkała co chwila na Karolę, która pozbierała już rozsypane po podłodze szkło i teraz zmywała resztki rozlanych drinków mopem. Wyglądała na przejętą. Miała gwałtowne ruchy i raczej rozmazywała resztki alkoholu na podłodze, niż je usuwała. Wzbudzała w Annie Zemełce ciepłe uczucia, dlatego podeszła do niej, wyjęła delikatnie z jej rąk kij i zaczęła starannie, powoli, zmywać podłogę. Uśmiechnęła się do stojącej bezradnie Karoli.

– Nic się nie stało.

– On mnie wyrzuci – Karola zerknęła z lękiem na Zemilskiego. – Oczywiście taką pracę znajdę wszędzie, ale nie chcę, żeby mnie wyrzucał. Boję się go trochę, ale lubię, że się go boję.

– Nie wyrzuci cię. On też cię lubi.

Zemilski podszedł jak na zawołanie.

– Dlaczego Zemełka sprząta? Ona tu nie pracuje – wyjął stanowczym ruchem mopa z rąk Anny Zemełki i wręczył go Karoli. Potem wyszedł na zewnątrz zapalić.

– Myśli pani, że on się we mnie zakochał? – zapytała zamyślona Karola.

– Myślę, że nie – odparła Anna Zemełka. – Ale cię lubi - dodała i wyszła za Zemilskim.

Stanęła obok i patrzyła jak pali. Milczeli chwilę.

– Dobrze dzisiaj wyglądasz, Zemełka – rzucił Zemilski nie patrząc w stronę Anny Zemełki, a przed siebie, na uliczny ruch.

– Już dawno postanowiłam, że będę tak wyglądała, nawet kiedy będę stara – odpowiedziała Zemełka.

– A ja zdecydowałem, że nie pozbędę się moich dziar, nawet jak będę dziadem.

– Ile pan ma właściwie lat?

– Dwadzieścia cztery.

Są takie cechy, które w kobiecie dostrzeże tylko mężczyzna, jeśli w ogóle dostrzeże. Kobieta w kobiecie tego nie zobaczy, nawet jeśli ta druga to jej córka. Tylko mężczyzną tak mocno wzruszy kruchość kobiety pod przebraniem pewności siebie. Tylko on to doceni i będzie w stanie za to pokochać, a nie potępi za dwulicowość. Kobiety też odgadują ukryte kruchości w mężczyznach i je doceniają. Ale tylko mężczyzna może za to jedno pokochać. Tak przynajmniej sądziła Anna Zemełka.

## ROZDZIAŁ IV

Marian Wesołowski był wyjątkowo niekonkretnym, rozmytym mężczyzną, którego najkonkretniej określało jego imię i nazwisko. Ono jednak także było bez właściwości i mogło być imieniem i nazwiskiem całej rzeszy mężczyzn. Nic się za tym imieniem i nazwiskiem nie kryło.

Mieszkał sam, od kiedy trzydzieści lat temu zostawiła go żona. Mieli wtedy pięcioletnią córkę, zabrała ją z sobą do bardziej konkretnego mężczyzny. Wesołowski długo zbierał się do kupy po tym, jak został sam w dwupokojowym mieszkaniu na siódmym piętrze. Siódme niebo, myślał gorzko i był to najdrastyczniejszy przejaw rebelii, na jaki było go stać. Od dziecka wykazywał się zbyt dużym zrozumieniem dla świata i ludzi. Potrafił wczuć się w położenie każdego i wystarczało mu kilka informacji z życia faceta, który skatował swojego psa, aby zrozumieć jego akt agresji. Było to przekleństwo, bo nawet kiedy ktoś krzywdził jego samego, nie potrafił

się bronić. Rozumiał. Zrozumiał także żonę, która wybrała życie z bardziej przedsiębiorczym mężczyzną. Od tamtej pory nie próbował nawet z nikim się związać. Pracował zwykle dorywczo, to tu, to tam. Jako magazynier, stróż, a od czasu supermarketów zwykle jako pracownik fizyczny. Zdejmował towar z palet i układał na półkach. Wciąż trzeba było uzupełniać, bo ludzie wciąż kupowali. Lubił to. Kiedy wpadał w trans, nie myślał, nie czuł i było mu dobrze.

Nie zaprzyjaźniał się z innymi pracownikami, ożywiał się, gdy ktoś miał problem albo postąpił paskudnie, wtedy mimowolnie szedł z pomocą, bo rozumiał.

Koledzy z pracy szanowali go za to, ale uważali za dziwaka, którego nie zaprasza się na imieniny. Marian Wesołowski przez ostatnie pół roku pracował w osiedlowym sklepie samoobsługowym. Żaden sieciowy supermarket, ale już sklep wielkopowierzchniowy. Właścicielami było dwóch szemranych biznesmenów, których żaden z pracowników nigdy na oczy nie widział. Wszystkim zarządzał kierownik, trzydziestodwuletni osobnik o sprytnych oczach, po zarządzaniu i marketingu, ukończonym w marnej szkółce.

Sklep znajdował się na trasie Zemilskiego z domu do pracy, ale Zemilski rzadko tam zaglądał. Nie lubił jarzeniówek. Tego dnia jednak musiał na gwałt dokuścić papierowe ręczniki. Wstąpił więc po drodze i ruszył szybko w stronę półki ze środkami higienicznymi. Za chwilę był już przy kasie, gdzie odbywała się awantura między Marianem Wesołowskim a kierownikiem sklepu, który wymachiwał przed nosem Wesołowskiego puszką pomidorów z bazylią.

– Masz mnie przede wszystkim przeprosić za tę ordynarną kradzież i przysięgnąć, że nigdy już czegoś podobnego nie zrobisz! – kierownik z dezynwolturą zwracał się per ty do mężczyzny, który mógłby być jego ojcem i który nigdy na taką formułę nie dał przyzwolenia.

– Nie zrobię tego – powiedział po raz kolejny Marian Wesołowski, czym rozsierdził kierownika jeszcze bardziej.

– Masz zrobić! Przeproś!

– Nie umiem, nie zrobię tego.

Nie umiem, nie umiem, powtarzał Wesołowski. Mężczyźni tym różnią się od kobiet, że mówią „nie umiem“. Albo: „Nie potrafiłem wtedy zachować się inaczej“. I już. Kobieta zawsze będzie próbowała sprostać, będzie się nagiwała, mocowała z wszystkich sił. Paradoksalnie to mężczyzna wygrywa, bo przy swoim lenistwie i tchórzostwie pozostaje sobą. A kobieta wygląda w swoich staraniach na podejrzaną, jakby coś udawała, była nieszczerą. Jakby starała się być lepsza, niż jest. „Omotąła go, udając, że go rozumie i jest wyrozumiała, a potem pokazała, jaką jest jędzą“. Tak to się zwykle kończy. On po prostu nie umiał inaczej, a ona była obłudną kobietą. Ale tym razem mężczyzna nie budził pogardy, bo jego „nie umiem“ nie było tchórzowskie, ale bohaterskie. W gruncie rzeczy on przecież umiał, ale nie chciał.

– Co tu się dzieje? – zapytał Zemilski, bo nie potrafił się nie wtrącić. – Niech pan przeprosi, jak pan ukradł. Przynajmniej tyle może pan zrobić.

– Nie potrafię. Nie jestem złodziejem.

– To po co pan ukradł tę puszkę? – zdziwił się Zemilski.

– A pan nigdy nie zrobił czegoś absurdalnego?

– Codziennie robię coś absurdalnego – rzekł z Zemilski z przekonaniem, bo przecież nawet w tej chwili w absurdalny sposób wplątał się w awanturę, która go nie dotyczyła.

– No widzi pan. Nie ukorzę się. Ukradłem tę głupią puszkę, bo mam już dość.

– Czego?

– Wszystkiego. Całe życie wszystko rozumiałem, ale teraz nie rozumiem. Nie rozumiem, dlaczego ten człowiek zwolnił mnie z pracy.

– Tniemy koszty – sucho poinformował kierownik.

– Ale mógł pan zwolnić każdego, a wybrał mnie. Dlaczego?

Kierownik milczał, obrażony.

– To ja panu powiem, bo pan mnie nie lubi i panu nie jest mnie żal. Pana życie nie straci na uroku, kiedy mnie tu nie będzie – dar rozumienia ludzi był także przekleństwem Mariana Wesołowskiego, bo doskonale rozumiał również,

kiedy ktoś miał go w nosie.

– No i co mi zrobisz? Nic! A ja ci zrobię. Wzywam policję. Mamy sporo drobnych kradzieży, teraz wiem, że to twoja i tylko twoja wina! Wzywam policję – powtórzył kierownik i wyjął z kieszeni wielki telefon. I wtedy Zemilski wytrącił kierownikowi telefon z ręki, aparat potoczył się w głąb sklepu, a kierownik jak pies pognał za urządzeniem, do granic przerażony. Zemilski popchnął Mariana Wesołowskiego w stronę wyjścia i obaj czmychnęli na słoneczną ulicę. Biegli chwilę obok siebie, bez słowa. Gdy w końcu zatrzymali się, zdyszani, Marian Wesołowski spojrzał na Zemilskiego z ciekawością.

– Dlaczego pan to zrobił?

– Bo ja nie jestem policja – wyjaśnił Zemilski, sapiąc. – Poza tym to była mała szkodliwość czynu.

Podali sobie ręce na pożegnanie, jak starzy znajomi, którzy spotkali się przypadkowo i ucieli sobie kurtuazyjną pogawędkę. Potem każdy z nich poszedł w swoją stronę.

## ROZDZIAŁ V

Chłopak śmiał się z Karoli i nie pozwalał jej wstać z chodnika. Tkwiła więc zawieszona na własnym rowerze, sukienka robiła teraz za coś w rodzaju szubienicy, na której Karola wisiała, a wszyscy przechodnie mogli oglądać jej nogi, jej majtki i jej biustonosz. Nie założyła tego dnia zbyt ładnej bielizny, a brzuch wylewał się z majtek. Zawsze miała lekką nadwagę. Kolano krwawiło. Przechodnie płynęli ulicą w jedną i w drugą stronę jak obłoki, większość jedynie na moment zawieszała na Karoli wzrok, patrzyli z góry i zaraz odwracali głowę z niesmakiem, jakby chcieli oszczędzić jej dodatkowych upokorzeń. Woleli nie patrzeć dla dobra jej i swojego własnego.

– Ty szmato żydowska i jak się teraz czujesz? – zainteresował się chłopak i tylko nie wiadomo było, dlaczego blondynka o jasnej karnacji i niebieskich oczach

była w jego mniemaniu szmatą żydowską, a nie jakąkolwiek inną, ale nie to było teraz istotne. Karola spróbowała wstać, ale popchnął ją mocno i znowu klapnęła na chodnik. Wykrzywiła się z bólu. Chłopak nachylił się nad nią, jego nos niemal dotykał jej nosa.

– Fajne masz cucuszki. Ale brzuchol za duży, gimnastyka się kłania.

I wtedy Karola zaczęła płakać. Czuła się przez to jeszcze gorzej, ale poziom upokorzenia przekroczył wszelkie dopuszczalne w jej świecie granice. Nie rozumiała, czego ten chłopak od niej chce, skąd wzięła się w nim ta wrogość. Jednak zupełnie nie mogła się skupić na opłakiwaniu swojego upokorzenia, bo jednocześnie w głowie świtała jej myśl, że zna skądś tego chłopaka, na pewno go zna. Oczywiście, przychodził do baru, był kilka razy, zawsze sam i zawsze kupował ciemne piwo. Kiedy chłopak odchodził, kopnąwszy uprzednio Karolinę w plecy, nie mocno, ale na tyle, by wydała jęk, Karola wyjęła z kieszeni sukienki telefon. Był to nie lada wyczyn, bo kieszeń znajdowała się teraz nad jej głową i była zaplątana w coś w rodzaju supeł. A jednak udało się i Karolina zrobiła chłopakowi kilka zdjęć.

– Jak ci nie wstyd, dziewczyno – kobieta z małym dzieckiem spojrzała na nią z najwyższym obrzydzeniem. Karolina nie zwróciła na nią uwagi, serce zalała jej radość, bo dobrze wiedziała, że mając czyjeś zdjęcie w telefonie, ma się tego kogoś w garści. Karola miała wszystkie cechy współczesnej dziewczyny. Zuchwała, niemądra z braku doświadczenia, ale inteligentna. Było więc jasne, że kiedyś zmadrzeje i stanie się nawet być może czułą, waleczną kobietą. Póki co jednak kipiało w niej zdrowe zrozumiałstwo osoby obdarzonej młodą skórą, dziewczyny, która lubi seks, nie chce się z nikim wiązać na stałe i może w każdej chwili rzucić pracę w barze po to, by wyjechać do Louangphrabang i pływać tam po rzece na samochodowej dętce. Dlatego Karola była wściekła jak zwierzę, kipiała w niej niepohamowana złość i chęć zemsty. Nienawidziła chłopaka, który jej to zrobił. Anna Zemełka lubiła ją za tę naiwną butę żrebaka na koślawych nogach, sama też taka kiedyś była i choć nigdy nie zamieniłaby się z Karolą miejscami, przypatrywała się jej poczynaniom z pewnym sentymentem. Według Zemilkisego Karoli było wszędzie za dużo,

za głośno i za szybko, poza tym irytowało go, że sypia z każdym klientem, który pojawi się przy barze i powie jej, że jest ładna. Zdaniem Zemilskiego było to puszczanie się pozbawione wdzięku, a tego nie tolerował, podobnie jak w ogóle słabo znosił wszelką brzydotę. Mimo to oboje, Zemełka i Zemilski, byli do Karoli przywiązani i traktowali ją jak kogoś, kogo chce się od czasu do czasu pogłaskać go głowie i przytulić, a także palnąć pięścią w nos jakąkolwiek osobę, która chciałaby tę istotę skrzywdzić choćby koniuszkiem palca.

Jak to dobrze, że w barze wszystko można załatwić. Zemilski mógłby prawdopodobnie założyć agencję, która zajmowałaby się wszystkim i można nawet powiedzieć, że prowadził tego rodzaju działalność, ale nieodpłatnie i wtedy, kiedy sam chciał. Tym razem chodziło o zapłakaną Karolę. Co prawda sam nieraz doprowadzał ją do łez swoimi wrzaskami, ale to było co innego, bo sam Zemilski wiedział najlepiej, że robił to z życzliwości i nie na serio. Natomiast ten gnój, którego namierzył w dwie godziny wrzucając jego zdjęcie do Internetu, niewątpliwie wszystkie krzywdy wyrządził Karoli nieżyczliwie i na poważnie.

A tego Zemilski znieść nie mógł.

– Szlag mnie trafia po prostu – wyjaśnił dobrze zbudowanemu mężczyźnie, który sączył przy barze duże piwo. Poza wielkimi mięśniami, miał tatuaż na tysej głowie, przedstawiający pajęczą sieć, a z boku, tuż nad okiem, po pajęczynie gramolił się tłusty pająk.

Nikogo więc nie powinno dziwić, że byczek miał ksywę Pająk. Wszyscy wiedzieli, że Pająk jest z mafii, nikt jednak nie wiedział z jakiej, tyle że z jakiejś poważnej. Nikt też nie wiedział jak Pająk ma na imię i podobnie jak bliższej wiedzy o mafii, także wiedzy o samym Pająku wszyscy woleli unikać. Wystarczało, co się już wiedziało.

– Skurwysyn – zawyrokował wyraźnie poruszony Pająk. Lubiał Karolę, była miła i dość ładna. Wesola i uśmiechnięta. – Chyba tego tak nie zostawisz?

– Oczywiście, że nie – zachnął się Zemilski. – Dlatego z tobą rozmawiam.

Nie minęło dziesięć minut jak Zemilski i Pająk dogadali się, że dwóch gości od

Pająka stuknie skurwysyna. I jeszcze tej samej nocy stuknęło. Byli to Pająk we własnej osobie wraz z kumplem. Towarzyszyli im, ubrana absurdalnie w czarną długą sukienkę Anna Zemełka oraz ubrany w czarną bluzę z kapturem Zemilski.

Noc była ciepła i gęsta, lipiec pokazał swoją najlepszą twarz. Wiał lekki wiatr, łagodny i subtelny, bardziej otulał skórę, niż ją smagał. Zniknął już dzienny skwar, ale nie nadszedł nocny chłód, i wiadomo było, że nie nadejdzie do rana. To jedna z tych nocy, kiedy nie chce się wracać do domu i kiedy zupełnie nie ma się ochoty spać. Można by tak siedzieć na ławce i patrzeć w gwiazdy albo na koronę drzewa, dziwiąc się, jak inaczej nocą wyglądają liście.

– To bardzo nieładne, jak potraktował pan naszą koleżankę. Gentelmani tak nie postępują.

– Ja nie jestem żadnym, kurwa, gentelmanem.

– Właśnie widzę i ubolewam – rzekła Anna Zemełka zimnym głosem. Trudno jej było prowadzić dalej tę rozmowę, bo Pająk uznał, że przerwa skończona i zabrali się znowu do tłuczenia gościa.

Zemełka i Zemilski stali i patrzyli jak Pająk z kolegą okładają go. Tłukli naprawdę mocno. Najpierw pięściami, kiedy jeszcze stał, oparty o mur, a kiedy zsunął się na ziemię kopali go w brzuch. Słysząc było głuchoe odgłosy, jakby walili w worek bokserski.

Zemełka zaczęła dygotać, chyba nie ze strachu, przeszło przez myśl zaniepokojonemu Zemilskiemu, na pewno z nieprzyjemnych emocji. Wydało jej się to wszystko teraz przesadne, gniew na mężczyznę zastępowała litość i strach, czy on się z tego wyliże. Nie planowała zmarnować mu życia, chciała tylko, żeby dobrze sobie zapamiętał. Zerknęła na Zemilskiego. Stał obok z poważną miną i po prostu patrzył na to, co się dzieje. Anna Zemełka czuła coś w rodzaju żalu, że to nie Zemilski wymierza sprawiedliwość. Może powinien, może byłoby to bardziej męskie i sprawiedliwe. Ale o dziwo Zemilski zachował swoją męskość. Nie stałoby się tak, gdyby przytulił Zemełkę, chcąc oszczędzić jej widoku i uspokoić. Byłby to gest zastępczy, jakby wstydział się, że nie bije i chciał jakoś inaczej być przydatnym. Najgorzej sta-



łoby się, gdyby chwycił ją za rękę. Oznaczałoby to, że się boi. Ale Zemilski wyglądał na opanowanego i pewnego tego, co się dzieje. To uspokoiło Zemełkę i dało jej pewność, że wszystko jest w porządku.

Na koniec Zemilski wezwał karetkę pogotowia. Mężczyzna był przytomny, wygrażał im jeszcze jęklwym głosem. Ocierał płynącą z warg, nosa i łuku brwiowego krew, co w rzeczywistości sprowadzało się do rozmazywania jej po twarzy. Drżał. Może szlochał, nie było wyraźnie widać w ciemnościach. Wyglądał jak skrzep. Grudkowaty, żylasty, rozlany na chodniku. Cuchnący. Anna Zemełka wzięła Zemilskiego pod rękę i odeszli, pożegnawszy się uprzednio z Pająkiem i jego kolegą. Ponoć facet, który upokorzył Karolę i wyglądał jak skrzep, wylądował w szpitalu ze złamaną żuchwą, nosem i obojczykiem. Nie chciał niczego zgłaszać policji. Ale policja sama się do niego zgłosiła, bo, jak się okazało, kolega Pajaka, który uczestniczył w wymierzaniu kary, był policjantem. Słyszając o tym, co facet zrobił Karoli, potwornie się zdenerwował i postanowił założyć dziadowi sprawę. Sam zgłosił popełnienie przestępstwa i wysłał do szpitala patrol, żeby wręczyli skurczybykowi wezwanie na przesłuchanie.

Oprawca Karoli nie był człowiekiem dobrym w żadnym stopniu. To się czasem zdarza. Gdzieś zaraz na początku splot okoliczności życiowych był tak fatalny, że dla człowieka tego, teraz już 24-letniego Mirka, nie było moralnego ratunku. Mirek nie miał wyjścia, musiał być prymitywny i zły, bo wszystko wokół niego, od kiedy pamiętał, tak właśnie wyglądało.

Jednak oprócz policji, w szpitalu przytrafiło mu się coś jeszcze, czego nie mógł potem zapomnieć i z czym nie umiał się pogodzić. Kiedy przenieśli go już z intensywnej terapii, przespał się z pacjentką z ortopedii. Poznali się na papierosie. Poczuli do siebie nieodparty zwierzęcy pociąg. Może dlatego, że ona była po wypadku samochodowym, a on po pobiciu, zatem na świeżo mieli w głowach tą mknącą radość „Ja żyję!”, po której włącza się człowiekowi inna świadomość, poczucie, że liczy się tu i teraz, i należy chwycić w garście wszystko, aż do utraty tchu. Chwyтали więc wspólnie w damskiej toalecie. Dziewczyna była ciemnowłosa, miała śniadą cerę

i piwne oczy. Mały wąsik nad ustami, dziwny akcent i powiedziała, że jest wyedukowaną Romką, studiującą stosunki międzynarodowe. Ot, taki paradoks przytrafił się do tego wszystkiego Mirkowi.

– Co my wyprawiamy? W co my się bawimy? Gdybym to powiedziała komuś z moich znajomych albo rodzinie, wysłaliby mnie na badania psychiatryczne.

– A dlaczego mamy tego nie robić? – zapytał lekko Zemilski. - Ludzie dzisiaj wyprawiają same głupoty i to ich powinno się zamknąć w psychiatryku. Pewnie zresztą zawsze wyprawiali, ale ja żyję obecnie i widzę obecnie. Ba, jestem niestety tego częścią. Powiem ci coś Zemełka szczerze, ja się po prostu czuję jakiś lepszy dzięki temu, że nam nie jest wsio rawno. A jak kogoś to dziwi, to już jego problem.

– Mamy na koncie dobry uczynek.

– I grzech – rzucił radośnie Zemilski. - Nie ma dobrego uczynku bez grzechu.

– Nie powie pani nikomu, że zleciliśmy pobicie? – zapytała Zemełka uprzejmie.

Doktor Magda, mimowolny świadek rozmowy, upiła swój koktajl typu souer, poprawiła się na hokerze i skrzywiła. Co to za problemy, co to za głupie i nieważne problemy mają ludzie. Według doktor Magdy tylko ona miała prawdziwe problemy. Umierał jej ojciec i zdaje się, że doktor Magda, chociaż była lekarzem, uważała, że tylko jej ojciec na całym świecie odchodzi na zawsze. Była jedynaczką, której wmówiono wyjątkowość tak dalece skutecznie, że nigdy z nikim i niczym się nie związała, bo za każdym razem w szacunkach wychodziło jej, że nic nie jest wystarczająco dobre. Wszystkich uważała za idiotów, problemy nawet osoby z zaawansowanym nowotworem były dla niej kretyńskie. Nie chciała zresztą słyszeć o niczym złym. Czytała komiksy i kryminały, w których przecież nikt nigdy nie umiera naprawdę i których nie da się brać na serio. Miała 46 lat i była dokumentnie zgorzkniała.

– Wie pani, jeśli miałabym to ująć jakoś delikatnie, jako że nie lubię być wulgarna, jeśli nie muszę, to jestem tym waszym zleceniem tak samo zainteresowana jak zagadnieniem pułapki ofsajdowej.

Doktor Magda nigdy nie mówiła zdaniem pojedynczo złożonymi. Lubiała też

chwalić się znajomością tematów, które pozornie zupełnie do niej nie pasowały. Była przekonana, że to musi robić wrażenie na rozmówcy. Ani na Zemełce, ani na Zemilskim nie robiło.

– Czyli po prostu ma to pani w dupie – Zemilski spojrzął na chłoptasia z ptasim gniazdkiem na głowie, który pojawił się przy barze nie wiadomo skąd. – Co podać? W barze zapadła senna zwyczajność. Zeszły się ćmy barowe, powoli sączyły się przytłumione rozmowy, z laptopa dobiegała przytłumiona playlista Zemilskiego. Pełen eklektyzm, od kompletnie zaburzonego techno po Mieczysława Foga. Zresztą playlista Zemilskiego stanowiła kompletną całość, była jak Zemilski. Anna Zemełka siedziała spokojnie, podpierała brodę na dłoni, jak dziewczynka, i zastanawiała się. Co ja tu robię? Co ja w ogóle robię?

Co się ze mną dzieje i co się ze mną stanie? To były te mgliste obawy, te nie do końca świadome zdumienia, które dopadają człowieka, gdy jest się zmęczonym, tuż przed zaśnięciem. Musi być wtedy noc, która osłania i zachęca: myśl teraz o sobie naprawdę, nikt cię nie widzi

i nie słyszy, ja cię zastoniłam. Czuj się bezpieczna. Do baru wszedł 60-latek w brązowym garniturze. Należał do skrajnie prawicowej partii i głosił umiłowanie czystości oraz potępienie grzechu. Spojrzął na Annę Zemełkę z niepokojem człowieka, który czuje, że musi zgwałcić, bo jest kuszony.

– Ubrałaby pani skromniejszą sukienkę, to nie dom publiczny – orzekł z wyższością, patrząc na piękny dekolt Zemełki. – Ludzie teraz jak zwierzęta, szkoda gadać. Zwierzęcość Anny Zemełki nie polegała wcale na tym, co z taką pewnością siebie wytknęła jej skrajnie prawicowy polityk. Polegała na połączeniu sarniej płochości z nierozumną drapieżnością dzikiego zwierzęcia. Zemełka potrafiła w tym samym momencie uciekać, splotzona i rzucać się na ofiarę. Instynktownie wiedziała, co kiedy należy uczynić i potrafiła robić to wszystko naraz.

Anna Zemełka była zwierzęciem, ponieważ była kobietą. Była sensualna czasem na granicy patosu i możliwości zniesienia tego, co taki ładunek zmysłowości z sobą niesie. Tego wieczoru ominęła bez słowa prawicowego polityka w brązowym gar-

niturze i podeszła bezczelnym krokiem do chłopaka, który patrzył na nią co chwilę z rogu sali i miał nerwowe ruchy. Nie zwyczajnie nerwowe, ale ostatecznie, tak że męczył się niepomierne wciąż machając to jedną to drugą stopą, stukając palcami o blat, zakładając jedną nogę na drugą, to znów drugą na pierwszą. Anna Zemełka podeszła stukając obcasami jak szeryf. Usiadła na krześle obok, potem wzięła rękę chłopaka i przyłożyła wewnętrzną część dłoni do swoich ust. Jakby ją całowała, a on jakby od dawna był jej kochankiem. Chłopak patrzył wytrzeszczonymi oczami, jednocześnie podniecając się, bojąc i czekając na to, co będzie dalej. Ale Zemełka uznała, że tyle mu wystarczy, żeby żył bardziej miękko, bo z taką nerwowością nigdy nie byłby w stanie poczuć zmysłowego świata, choćby nie wiadomo jak długo patrzył na Annę Zemełkę. Wstała i wróciła na swoje miejsce. Była zawstydzona swoim zachowaniem, ale nie potrafiła się oprzeć. Wiedziała, że ludzie tak się nie zachowują. Spojrzała niepewnie na Zemilskiego, ale on zachowywał się, jakby Zemełka zrobiła najzwyczajszą rzecz na świecie. Potem postawił przed prawicowym politykiem jego piwo, do którego wcześniej ukradkiem napluł.

Nie wiedziała, że Zemilski na nią patrzy. Była pijana, lecz nie tak, by tracić panowanie nad ciałem. Kiedy nie miała mężczyzny, dużo tańczyła. W jakiś sposób był to akt seksualny. Na pewno zmysłowy. Niektórzy nie ufają ludziom, którzy nie lubią dobrze zjeść, Anna Zemełka nie chciała się wiązać z mężczyznami, którzy nie byli czuli na taniec. Nie musieli sami tańczyć, ale powinni chcieć patrzeć na nią. Kobiecie jest łatwiej, wprawia ciało w ruch, rusza biodrami, zagarnia rękami, przymyka oczy i cała jest już tą sensualną rzeczywistością, która umyka. Kobiecie wystarczy, że spojrzy sama na siebie i już ma zmysły na wyciągnięcie ręki. Mężczyzna musi patrzeć na kobietę, żeby się tam dostać.

Zemilski patrzył na nią. Czy w dzisiejszym świecie ktokolwiek jeszcze powstrzymuje się przed dotknięciem osoby, która detonuje jego zmysły? Ktoś jeszcze się opiera i sobie nie zezwala? Oni sobie nie zezwalali i było to pewnie bardziej podniecające, niż gdyby rzucili się gwałtownie na siebie, a potem leżeli niemo, nadzy i zawstydzeni, jakby zepsuli właśnie coś ładnego, zżarli niezwykle misternie ukręcony tort.

Kobiety chcą być posiadaczkami swojego ciała, swojej zmysłowości.

Dlatego Zemełka tak lubiła tańczyć. Sama w ciemnym kącie, zwykła kołysać biodrami. Nie robiła tego na pokaz, w domu tańczyła, gdy nikt nie patrzył. To był rytuał, który pozwalał jej sprawdzić, czy ona tam jeszcze jest. W swoim ładnym ciele. Ona, czyli kobieta. Z tego samego powodu Karola tak lubiła sypiać z chłopakami, puszczała się nierozważnie i nie mogła się oprzeć, by nie patrzeć na siebie gołą. Miała lustro obok materaca, który zakrywał prawie całą podłogę w jej pokoju. Lustro było stare, z targu, pęknięte i przydymione. Trochę zniekształcało, ale zawsze w dobrym kierunku. Ciało Karoli wyglądało w nim zmysłowo, nawet jeśli miała akurat na sobie różowe dzieciinne majtki i skarpetki w paski, a brzuch wystawał jej głupio, bo najadła się makaronu.

Anna Zemełka kołysała się i przyszła jej do głowy babka. Dama, która przed wojną w Warszawie studiowała architekturę, lecz koleje losu nie pozwoliły jej do końca się wykształcić, ubiły ją i uklepały łopatką. Babka była wysoka i szczupła, ale o ciężkich piersiach. Zemełka swoje zawdzięczała właśnie jej. Babka miała trzech mężów i dwie córki, z których jedna była matką Zemełki. To właśnie babka powiedziała kiedyś Zemełce, że każdego ze swoich mężczyzn traktowała tak samo - jak swoje dziecko. Wkładała w nich całe serce i wszelką swoją mądrość, a także bezwarunkową opiekuńczość. Potem, kiedy między nimi był koniec, nie miała poczucia przegranej. Oto wypuszczała w świat mężczyznę, który był piękny. Z dumą patrzyła jak idzie dalej i budzi podziw. Z daleka czuwała, czy wszystko z nim dobrze i drżała, kiedy był w niebezpieczeństwie. Lecz już z oddali, jak dobra matka, która odcina sznurki i nie wtrąca się więcej w życie dorosłych dzieci. Anna Zemełka wzięła od babki to przekonanie. A teraz zdarzyła jej się inna przygoda. Zdarzył jej się Zemilski, którego chowała jak swojego, a przecież nie był jej. Nic jej to jednak nie obchodziło. Wiedziała, że kiedyś wypuści go z rąk, żeby olśniewał.

## ROZDZIAŁ VI

Krzysztof „Malutki“ Lencz bardzo się starał, żeby te dwie kobiety nigdy się nie poznały. Właściwie cała jego aktywność w barze Zemilskiego sprowadzała się do tego i do picia. Nigdy nie powiedział na głos, że nie chce dopuścić do spotkania swojej kochanki ze swoją żoną, ale dla wszystkich sprawa była więcej niż oczywista. Ale nie dla Anny Zemełki. Nie mogła pojąć, a raczej pojmowała rozumem to powszechne ludzkie zachowanie, ale wciąż nie przestawała mu się dziwić, jak wszyscy bywalcy baru mogli bez żadnego zainteresowania czy poczucia wstydu patrzeć na to, jak Malutki najpierw pije piwo z kochanką, która pracowała w domu i mogła się wyrwać o dowolnej porze, i opowiada jej zabawne historie, a po południu na tym samym krześle siedzi jego żona, która jest już po pracy i która wysłuchuje dokładnie tych samych opowieści. Czasem Malutki coś dodawał i uatrakcyjniał, gdy opowiadał te same anegdoty po raz drugi, można więc powiedzieć, że pod tym względem jego żona była nieco uprzywilejowana. Ale raczej pod żadnym innym. Kochanka i żona Malutkiego były przykładami na to, że tak w miłości jak i zdradzie (co czasem znaczy to samo) nie chodzi w ogóle o to, że kochanka jest bardziej atrakcyjna od żony. Kochanka Malutkiego była znacznie mniej atrakcyjna od jego żony i to zarówno pod względem urody, kształtów ciała, jak i żywotności ducha, inteligencji i przydatności towarzyskiej. Żona Malutkiego miała brązowe lśniące włosy, miodowe oczy i była dość korpulentna, ale w ponętny sposób. Migotliwa i żywotna, odznaczała się jowialnością i bystrym, hałaśliwym poczuciem humoru. Była jak przysadzista Włoszka bawiąca się w mechanika samochodowego. Siadała Malutkiemu na kolanach, skubała jego wąsy i spijała jego piwo. Wszyscy ją lubili. Kiedy dzień był ponury, jej pojawienie się ożywiało bar i wprawiało bywalców w lepsze humory. Nawet przypadkowo zabłąkanych jednorazowych gości. Kochanka Malutkiego była tak kontrastowo inna, że niektórzy podejrzewali go o taki koncept, by kochankę mieć zupełnie odwrotną. Była to kobieta bardzo szczer-

pła, z cieniutkimi blond włoskami do ramion, delikatna i eteryczna, a przy tym zmizerniała na twarzy. Nieśmiała, cichutka i urokliwa jak bibelot, jednak śmiała się z opowieści Malutkiego równie żarliwie jak jego żona. Śmiała się inaczej, cienie i piskliwiej, ale z tym samym zaangażowaniem. Tylko zakochaną kobietę czyjeś opowieści są w stanie rozśmieszyć aż do tego stopnia. Tamtego dnia wszystko zaczęło się jak zwykle. Do baru weszła koścista, zapadnięta kochanka z oczodołami. Tym razem była nawet jeszcze bardziej smutna, choć śmiała się, piła piwo i klepała się po udach, gdy Malutki zabawiał ją historyjkami, które mu się od rana przydały. Tu coś zmyślił, tam coś wyolbrzymał, a wszystko po to, żeby oczodoły kochanki stały się choć trochę mniej sine i zapadnięte. I jej oczy rzeczywiście błyszczały. Ta kobieta z pewnością kochała Malutkiego.

Anna Zemełka przyglądała im się nieco już odporna na refleksje dotyczące życia uczuciowego Malutkiego. Wciąż jeszcze uważała to wszystko za karygodne, ale pogodziła się, że ukaranie bigamisty nie będzie proste, bo jest sprytny, dobrze zorganizowany, a przy tym niestety w innych dziedzinach dobrotliwy i uroczy. I wtedy właśnie do baru weszła żona Malutkiego. Omiotła uśmiechniętym wzrokiem kilka osób, które o tak wczesnej porze już siedziały przy stolikach. Zatrzymała wzrok tam, gdzie siedział Malutki z kochanką, a ta akurat śmiała się perliście, na co on patrzył z podziwem, bo przecież ten śmiech był jego dziełem. Żona Malutkiego znieruchomiła na cieniutką chwilę, by błyskawicznie się z niej wydobyć. Z tej chwili, gdy na jej twarz padł cień, a w oczach widać było wściekłość. Opanowała ten nastrój tak zręcznie, że aż nie do uwierzenia. Z gwiazdorskim uśmiechem wkroczyła do baru, podeszła do męża, pocałowała go w usta, nie patrząc nawet przez moment na kochankę, mruknęła kocio, że będzie przy barze, na zachętę, jakby na Malutkiego miała tam czekać dzika orgia z nią w roli głównej. Usiadła przy barze. Zamówiła kawę. Zaczęła swobodnie gawędzić z Zemilskim. Malutki przyjął jej powitalny pocałunek jakby to było coś zupełnie naturalnego i wrócił do rozbawiania kochanki, a ta zaśmiała się głośno i przeciągle jak indyk, jakby nie wiedziała, że przy barze siedzi oto żona Malutkiego, której wcale nie powinno tam być.

Zachowywali się jak trójka aktorów, którzy umówili się, że odgrywać będą rolę ludzi wesółych, swobodnych, którzy nie mają sobie i innym nic do zarzucenia.

Unikali krzyżowania się spojrzeń i w ogóle starali się patrzeć raczej na podłogę, badać strukturę ścian i podziwiać zakurzone bibeloty Zemilskiego, które piętrzyły się w każdym rogu baru.

Jakież to było dziwne, ten taniec nieuważności, który ta trójka odstawiała. Unikanie spojrzeń, odwracanie głowy w niezręcznych momentach, niewidzenie ukradkowego dotyku, a wszystko to przecież bujda. Bo nawet gdyby niczego nie widzieli, żadnych podejrzanych gestów i spojrzeń, to w powietrzu unosiła się między nimi energia podobna do pola magnetycznego, niemal świeciły wyładowania i złote nici. Ludzie często udają, że wierzą tylko w widzialne, ale niewidzialne trzyma ich w garści i za nic ma ich wiarę lub niewiarę.

Ile są w stanie odegrać ludzie, którzy nie chcą znać prawdy? Anna Zemełka patrzyła na Malutkiego i jego dwie kobiety z coraz większym zachwytem. Tym czystym zachwytem, jaki dopada nas czasem, kiedy widzimy zapierający dech w piersiach górski pejzaż po wdrapaniu się na szczyt albo niezwykły, pełen pulsującego koloru kwiat, który rośnie zuchwale obok śmietnika. Te rzeczy są poza moralną oceną, po prostu wprawiają w zdumienie. I w takie właśnie zdumienie wpadła Anna Zemełka. Wreszcie żona Malutkiego zabrała swoją kawę i usiadła przy wolnym stoliku. Na ten znak czekał najwyraźniej Malutki, bo zaraz pożegnał się z kochanką – z galanterią dżentelmena, który chwilowo dotrzymywał towarzystwa samotnej damie – i przeniósł się ze swobodą kolibra do stolika swojej małżonki, jakby właśnie przyszedł na umówione dawno i wyczekiwane spotkanie.

Żona Malutkiego przyjęła go spontanicznie, jakby właśnie w tej chwili wszedł do lokalu, lekko zdyszany, ale na czas. Rozpoczęła rozmowę o konieczności naprawy szafy wnękowej, udając, że nie widzi jak siedząca przy stoliku obok kochanka macha ze zdenerwowania nogą założoną na nogę. Macha i macha, jakby chciała rozhuścić kończynę tak, by noga, wyrwawszy się ze stawu biodrowego, poszybowała wprost w kierunku żony Malutkiego i niczym bumerang odcięła jej głowę.



Ale to nie koniec, bo przy ewidentnej zazdrości i wściekłości nogi, twarz kochanki była zalana wstydem. Kobieta wręcz płonęła, chowała wzrok i miała wypisany na twarzy wyrzut sumienia. Malutki rozmawiał z pełnym zaangażowaniem o szafie, przy tym zezował wciąż na kochankę i przyznać trzeba, że był mistrzem patrzenia w którąś stronę tak, że w ogóle nie dało się tego zauważyć bez wyraźnego zainteresowania tematem. Oczywiście żona była tematem zainteresowana i doskonale widziała, gdzie patrzy jej mąż, ale udawała, że zupełnie tego nie zauważa. Także kochanka wiedziała, że Malutki patrzy w jej stronę, jednak ona również zachowywała się, jakby wcale tak nie było. Do tego wszystkiego cała ludzka zawartość baru Zemilskiego była świadoma, co się dzieje, więcej, była tym spektaklem oszołomiona, obserwowała go jak finał ligi mistrzów w telewizorze wiszącym nad barem, jednak wszyscy, ale to wszyscy udawali, że nic się nie dzieje, a już z pewnością nic ich to nie obchodzi.

Trwało to stanowczo zbyt długo. Mijały kwadranse, a Malutki, jego żona i kochanka tkwili na swoich miejscach, jakby jakaś siła nie pozwalała im się ruszyć. Malutki pomarkotniał i brakowało mu już tematów, które mógłby, udając swobodę, poruszać z żoną. Kochanka nie ruszała się z miejsca, jednak przestała kręcić się nerwowo i nawet z jej twarzy zniknął wstyd. Była zmęczona. Najwięcej pary miała żona, najwyraźniej napędzała ją dobrze ukrywana wściekłość. Może to właśnie była jej zemsta, zamęczyć tamtych dwoje psychicznie.

Z niespożytą żywotnością słuchała coraz markotniejszych i powolnych opowieści męża, zachęcała go do kolejnych, napędzała rozmowę pytaniami, uśmiechała się przy tym cały czas. Nikt nie mógł się ruszyć. Nikt nie chciał. Bo co by się wtedy stało? Gdyby kochanka wyszła, czy nie straciłaby kontroli nad sytuacją? Czy żona nie zrobiłaby wtedy awantury mężowi? A gdyby Malutki poprosił żonę, żeby już poszli, czy ta nie stawiałaby uroczego oporu, mówiąc, ależ co ty mówisz, tu jest tak miło? A żona, która jedyna mogła cokolwiek tu postanowić, najwyraźniej zdecydowała, że koszmar ten nie skończy się nigdy. Dlatego Anna Zemełka wstała ze swojego miejsca. Usiadła bez pardonu przy stoliku Malutkiego i jego żony, i powiedziała

miękkim głosem:

– Myślę, że powinniście kogoś poznać.

Malutkiego aż sparaliżowało ze zdumienia, gdy Anna Zemełka kiwnęła uprzejmie na jego kochankę i zaprosiła ją gestem do stolika. Płochliwa chudzina nie miała pojęcia, co począć, zerkała na Malutkiego, licząc na jakąś podpowiedź, jakiś jego miłosierny znak, ale Malutki był sparaliżowany i nie potrafił wykonać żadnego gestu. Dlatego eteryczna kochanka z zapadniętymi oczodołami nie widziała innego wyjścia, jak tylko przycupnąć przy stoliku, obok żony swojego kochanka.

Anna Zemełka z uśmiechem psocącego bezkarnie dziecka zapoznała ich wszystkich z sobą i uznała za absolutnie niewiarygodne, że te dwie stałe bywalczyńce lokalu nigdy wcześniej się nie spotkały. Jak to możliwe?! Dwie tak szacowne klientki! Co więcej, Zemełka wyraziła entuzjastyczne przypuszczenie, że gdyby obie lepiej się poznały, byłyby sobą zachwycone.

Żona Malutkiego chichotała, pijąc coraz szybsze i mniejszy łyeczki kawy, a chuderlawka prawie nie oddychała wodząc coraz szybciej wzrokiem po każdej możliwej do wykonania trajektorii, co wyglądało, jakby jej coś wpadło do oka i nie chciało wyjść. Malutki wciąż tkwił w paraliżu, co uniemożliwiało jakąkolwiek z nim komunikację. Cały bar zamarł i wszyscy już bez ceregieli gapili się na widowisko, czekając w napięciu, co będzie dalej.

A dalej było to, co dało się przewidzieć. Ktoś nie wytrzymał. Była to chuderlawka z oczodołami, która powiedziała cichutko i uprzejmie, że musi skorzystać z toalety, a gdy się podnosiła, dokładnie ten sam gest, w tej samej sekundzie, wykonała energiczna żona Malutkiego, pohukując ten sam komunikat o toalecie. Ku swojej rozpaczycy i zgrozie wszystkich zgromadzonych. Nie miały wyjścia, musiały wspólnie udać się do toalety.

– Jak pani mogła?! – zasyczał wściekły Malutki, gdy kobiety zniknęły za drzwiami wc.

– Pomyślałam, że byłoby uroczo, gdybyście się poznali – zaszczebiotała filuternie Zemełka, co zupełnie do niej nie pasowało. Bawiło ją to.

– Poznali?! Przecież to nie wypada! My się nie możemy znać, kobieto!

– Trochę na to za późno. W tym czasie żona Malutkiego i jego kochanka wspólnie korzystały z koedukacyjnej toalety. Obie wpadły na pomysł poprawienia makijażu i fryzury, a tak naprawdę chciały uciec od niezręcznej sytuacji i trochę ochłonać. Stały więc ramię w ramię przed umywalką i mierzyły wzrokiem swoje odbicie w lustrze, a potem odbicie koleżanki i w ten sposób ich wzrok nareszcie się spotkał. Kiedy czyjś wzrok napotka inny wzrok, znajomość może przybrać zupełnie niespodziewany kierunek. Przede wszystkim, kiedy kobiety na siebie spojrzały, wiedziały już na pewno, która z nich jaką gra rolę w życiu Malutkiego. Wiedziały też, że obie wiedzą. Czas w pewien sposób spowolnił i przez ułamek chwili wydawało się, że może tu dojść do krwawego zajścia, w tej ciasnej, niezbyt czystej toalecie baru Zemilskiego. Nic takiego jednak się nie stało. Nagle, zupełnie bez podjęcia takiej decyzji, żona Malutkiego uśmiechnęła się swoim mięsistym, winnym uśmiechem, który był tak ciężki jak kiść winogron i każdemu, kto na niego spojrzeł, przynosił jakąś ulgę i radość. Dlatego kochanka także się uśmiechnęła. Jej cieniutkie usta same odpowiedziały na tę niespodziewaną zachętę. Kochanka uśmiechnęła się cieniutko i płochliwie, jakby przepraszała tym uśmiechem za przewinę, która nie była w ogóle jej intencją. Jakby chciała powiedzieć, przepraszam, że cię wrzuciłam do rzeki, nie chciałam tego zrobić, zamachnęłam się ręką tylko po to, żeby pokazać ci piękny księżyc. I te przeprosiny, w jakiś magiczny, niewytłumaczalny sposób zostały natychmiast przyjęte. Malutki nie wiedział zupełnie, co się stało i jak do tego doszło. Oto jego żona i jego kochanka siedziały razem przy stoliku i szczebiotały. Co tam, gadały, plotkowały, prawily androny, śmiały się tak szczerze jak nigdy przy nim. Owszem, tak, były coraz bardziej pijane, ale to ich w oczach Malutkiego nie usprawiedliwiał. Zemełka patrzyła na to wszystko z wyrazem tryumfu. Matulki miał dryg do kobiet. Doskonale robił, nie dopuszczając do poznania się tych dwóch. Znał je, były dobrymi istotami. Czułymi, pełnymi rozmaitych, mniejszych i większych zasad. Owszem, żona mogła przymykać oko na kochankę i skrycie jej nienawidzić, dopóki jej nie znała. A kochanka była w stanie sypiać z nieswoim mężem,

dopóki nie wiedziała, komu go zabiera. Jednak stanąć twarzą w twarz z tą kobietą, wypić z nią piwo i wódkę, rozmawiać z nią i śmiać się, trzymać rękę na jej ramieniu to już zupełnie inna sprawa. To wszystko zmieniało. A na dodatek te dwie kobiety nie zwróciły się wcale frontem przeciwko Malutkiemu.

Potraktowały go gorzej. Z pobłażaniem. Malutki poczuł się niepotrzebny i ośmieszony. Czuł na sobie kpiące spojrzenia bywalców, ludzi, którzy cieszyli się, że nie byli na jego miejscu. Stał chwilę, a kiedy już wtopił się w pejzaż, bezszelestnie ruszył w stronę wyjścia z baru. Wszedł na schodki i powędrował w górę, wprost na ulicę. Panował mrok. Toczyło się tu obojętne niezniszczalne życie. A tam w dole działo się coś dla Malutkiego niewyobrażalnego. Dwie najbliższe mu kobiety zjednoczyły się i jednocześnie go zignorowały. Najpierw poczuł złość. Bezsilny mężczyzna czuje złość. Było to uczucie podobne do tego, jakiego doznawał, kiedy był malcem i nie dostawał tego, co chciał, albo coś mu odbierano. Ciskał przedmiotami w rodziców lub kładł się na podłodze, i jednocześnie tupał i walił piąstkami w ziemię. Cóż miał zrobić innego? Nie mógł się przecież wyprowadzić, miał cztery lata. Jako dorosły mężczyzna także czuł czasem tę dziecinną złość. Wstydził się jej i nie lubił, przypominała mu, że są w nim takie rewiry, nad którymi nie ma kontroli. Teraz stracił ją także nad misternie przez siebie utkanym życiem uczuciowym. Wyszedł z baru i spacerował wzdłuż rzeki.

Kochał je obie. Żadnej nie chciałby skrzywdzić i żadnej stracić. A teraz w jakiś sposób stracił je obie. Chociaż nie, stracił nad nimi kontrolę demiurga i Pigmaliona. Oddał im wolność. Tak, on je uwolnił. Właściwie zrobiła to Anna Zemełka, ta zdziwaczała wiedźma. Może zresztą dobrze, że to zrobiła. Może tak powinno być. Przystanął i uśmiechnął się do siebie. W ogóle nie zwracał uwagi na to, gdzie jest i jak księżyc odbijał się od wody. Był zapatrzonej w siebie, do środka. To chyba nie-normalne, ale poczuł dumę, że one się polubiły. Dziwny rodzaj satysfakcji. Potrafiły zachować się z taką klasą, a może tak głupio, sam nie wiedział, że nawet jemu zaczęło się to podobać. Teraz go pewnie obgadują, porównują. Nie, chyba nie. Nie rozmawiają o nim wcale. Miał ochotę na kurczaka z rozna. Poszedł piechotą

do budy, która o dziwo jeszcze funkcjonowała i kupił pieczone. Wziął pakunek pod pachę i poszedł do domu. Noc była wyśmienita, jak balsam.

Kochanka i żona Malutkiego zaprzyjaźniły się później naprawdę. Przypadły sobie do gustu, spędzały wspólnie masę czasu, chodziły do kina. Potem jednak zrozumiały, że czują się z sobą niezręcznie i że jednak mają do siebie żal, którego nie umiały i nie chciały wykrzyczeć. Przestały się spotykać, ale pisały do siebie listy. Długie listy, i tak było lepiej. Nie widzieć jej twarzy, ale nie tracić z nią kontaktu. Stały się dla siebie bardziej anonimowe, niewidzialne, a przy tym z listu na list coraz bardziej fikcyjne. Każda z nich dostała więc swoją ulubioną bohaterkę. Malutki czuł się samotny, więc nie pozostało mu nic innego, jak znaleźć sobie kochankę. Kobieta, która nareszcie go zrozumie. I znalazł, jednak nigdy nie przyprowadził jej do baru Zemilskiego.

Kiedy Malutki wyszedł w nerwach z baru, niemal potykając się o próg, wyszła z niego także Anna Zemełka. Kobiety Malutkiego biesiadowały wspólnie przy barze, a inni goście przestali wstrzymywać oddechy i stracili zainteresowanie trójkątem. Bar Zemilskiego leżał przy ulicy w centrum. Po jej drugiej stronie, wzdłuż chodnika, w dole, płynęła rzeka. Zemełka usiadła przy mocno rozklekotanym stoliku, średnio udanie zapraszającym do wejścia, i patrzyła na wieczorną nadrzeczną ulicę w środku miasta. Jakże tu było pięknie. Lubiła tę ulicę za dnia i wieczorem. Ulica zyskiwała, gdy wychodziło się z baru Zemilskiego. Trzeba tam było najpierw wejść i zanurzyć się w kurzu. Dać się obezwładnić rupieciom bez wieku i przeznaczenia, które Zemilski nazywał bibelotami. W dodatku, ponieważ schodziło się kilka schodów w dół, a kamienica miała grube mury, znikał tam wszelki zasięg. Przybysz wstępował do świata zawieszzonego między i między. To właśnie powodowało, że miejsce Zemilskiego zdawało się kapsułą. I dlatego miało tylu codziennych bywalców, którzy wybaczały kurz i bałagan. Więcej, bez kurzu i bałaganu być może nie byłoby ulgi. I potem wychodzisz po kilku schodkach w górę, przekraczasz próg i wstępujesz do współczesności. Ostrej i kontrowersyjnie ładnej. Ludzie są ubrani mało stylowo, ale przeważnie coś na sobie mają. W dłoniach zwykle trzy-

mają telefony, często w uszach słuchawki. Idą, wpatrzeni w malutkie monitorki. A czasem wcale nie. Czasami trzymają się za ręce i śmieją, idą grupą, potrącają się co chwila niechcący ramię o ramię, przepraszają i przyjmują przeprosiny. Idą szybko, wolno, przystają. Czekają na kogoś, są zagubieni. Nieliczni, niestety nieliczni, przystają, by spojrzeć na rzekę. A tam zawsze coś się dzieje. Woda jest jak żywe srebro, mieni się kolorami, w zależności od tego, jaki nastrój ma miasto. Czy można przejść obok obojętnie? Można, ale Zemilski nie potrafił tego zrozumieć. On zawsze musiał mieć nastrój miasta pod kontrolą.

Po chwili stanął obok Anny Zemełki. Usiadł na drugim koślawym krześle i zapalił papierosa. Od kwadransa chciał się tu wyrwać, żeby popatrzeć na ulicę. Lubił ją tak samo jak Zemełka. Rozczulało go światło, krzywe chodnikowe płyty, rowery przypięte do latarni, kundle i rasowe głupawe psy. Nawet ludzie. Ludzie jednak też.

– Zapalisz?

– Przecież nie palę.

– Ale mogło ci się zachcieć.

Tamtego dnia Zemilski przyszedł do baru trochę wcześniej. Chciał w spokoju podliczyć rachunki, a zawsze kiedy pojawiali się klienci, brakowało mu na to czasu i ochoty. Wolał się im przyglądać albo z nimi gawędzić. Otworzył drzwi dwoma kluczami, jednym do zamka, drugim do kłódki. Była to właściwie kłódka ozdobna, stara i zardzewiała, założył ją jeszcze wujek Zemilskiego. Tak, Zemilski był sentymentalny i uczuciowy, ale nie potrafił o tym mówić, ani tego okazywać gestami. Wyrażał swoją czułość przy pomocy kłopotów, które gromadził w barze. Wszystkie te rupiecie miały dla niego wartość sentymentalną, nawet pusta puszką po pasztecie ze świnia na etykiecie, na którą Zemełka kiedyś niechcący nadepnęła. Zemilski podniósł wtedy puszkę z czcią i odstawił ją na półkę. Powiedział, że jest to pamiątka po wypadzie pod namiot. Zemełka powstrzymała ciekawość i o nic więcej nie pytała. Przypomniała sobie, że na półce, która wisi nad barem, stoi pusta małpka po wiśniówce, którą kiedyś razem wypili. Nie pamiętała nawet kiedy. Zemilski otaczał się śmieciami, bo były one jego pamiętnikiem.

Kiedy tylko zaczął przeglądać rachunki, do baru wszedł pierwszy gość. Burknął zdawkowe dzień dobry i usiadł w kącie przy barze. Chciał kawę. Zemilski od razu go rozpoznał. Był to Marian Wesołowski, którego Zemilski uratował kiedyś w supermarkecie przed kłopotami. Człowiek bez rodziny i bez właściwości. Wtedy jednak Zemilski nie znał jeszcze jego nazwiska ani historii, pamiętał tylko, jak kierownik oskarżał faceta o kradzież puszki pomidorów. Marian za to nie pamiętał Zemilskiego wcale. To dziwne, bo Zemilski był charakterystyczny, a Marian Wesołowski był człowiekiem o wyglądzie tak niejakim, że trudno było o coś zahaczyć wzrok.

– Siemano – zagadnął Zemilski, a widząc pusty pytający wzrok, dodał – Nie pamięta mnie pan? Market, skradziona puszka pomidorów i ja jako Superman.

– To pan! – zawołał Marian Wesołowski i przybrał wesoły wyraz twarzy, a przez to stał się konkretniejszy, mniej statystyczny. – Nigdy nie zapomnę, że pan mnie wtedy wyratował.

– Jak życie?

– Wróciłem tam – Marian Wesołowski powiedział to takim tonem, jakby chciał się pochwalić pewnym może skromnym, ale dla niego ważnym życiowym osiągnięciem.

Zemilski spojrzał na niego zdziwiony.

– Do marketu?

– Znowu u nich pracuję. Kierownik przeprosił. Brakowało mu mnie w zespole. Mężczyzna bez właściwości kiwał głową nad kawą, jakby sam siebie chciał przekonać do prawdziwości wypowiedzianych właśnie słów. Przestał się uśmiechać. Zwiesił głowę, chlipnął gorący napój i wyraźnie unikał wzroku Zemilskiego. Myślał pewnie, że Zemilski jest nim rozczarowany. I Zemilski był rozczarowany, ale inaczej niż Marian Wesołowski mógł sądzić. Zemilski był przyzwyczajony do tego, że wyrażeni lub ukarani przez niego ludzie popełniają dokładnie te same błędy i wpadają w identyczne tarapaty. I to nie raz! Ludzie to recydywiści.

Zemilski nie miał co prawda pretensji do swojego gościa, ale też nie pałał już do niego nadmierną sympatią. Przestał się nim po prostu interesować, bo człowiek

okazał się kolejnym typowym przykładem na coś, a Zemilskiego najbardziej interesowali ludzie, którzy byli przykładami nietypowymi, łamiącymi jakieś wymagowane przez ogół reguły. Zemilski wrócił do rachunków.

Po pół godzinie milczenia, jakie zapanowało między Zemilskim a Marianem Wesołowskim – które Marian przerwał tylko na kilka minut, żeby się przedstawić z imienia i nazwiska, a także opowiedzieć swoją smutną historię człowieka nijakiego, którego opuściła niegdyś żona – do baru wszedł mężczyzna o wyglądzie zmokłym. Był jakby właśnie złał go deszcz, choć na zewnątrz wciąż królował rozleniwiająco suchy lipiec. W mężczyźnie tym najwyraźniej coś szalało, bo był na zamianę spokojny i rozbiegany. To przewracał oczami i nerwowo pocierał dłońią o dłoń, to zapadał w coś na kształt szybkiego letargu, kiedy wydawało się, że nie mruga i nie oddycha. Jakby nie mógł się zdecydować, czy jest zdenerwowany, czy spokojny. Najwyraźniej toczył wewnętrzną walkę.

Mężczyzna o zmokniętym wyglądzie podszedł do baru, wyjął z kieszeni papierosy, zapalniczkę i portfel, i wszystkim to stanowczym gestem przybił dłońią do lady. Rozejrzał się, jakby chcąc sobie przypomnieć, po co tu właściwie przyszedł i wreszcie powiedział kategorycznie:

– To piwo.

Usiadł, i znowu na przemian był spokojny i zdenerwowany. Ten brak zdecydowania udzielił się Zemilskiemu i Marianowi, patrzyli na mężczyznę wyczekująco, jakby naglili go, żeby się wreszcie zdecydował co do nastroju.

Mężczyzna był najwyraźniej świadomy, że w powietrzu wisały jakieś oczekiwania, bo upijając dwa szybkie łyki piwa i dwa wolne powiedział po prostu:

– Rozwiodłem się. Dzisiaj mija pół roku.

– Rocznica – zdefiniował Zemilski ze zrozumieniem. Marian przytakiwał gorliwie, nikt tak dobrze jak on nie rozumiał katastrofy rozvodu.

Zemilski uznał, że czas nalać do trzech kieliszków piótonówki, a następnie ją wypić. Trójka mężczyzn w ogóle się nie znała, lecz w niczym to nie przeszkadzało, przeciwnie, nie byli obarczeni żadnymi wobec siebie oczekiwaniami, ani wspomnienia-



mi. Z boku wyglądali jak starzy dobrzy znajomi, gdy tak kiwali głowami nad losem rozwodnika o nieokreślonym nastroju.

– Ja też się rozwiodłem – Marian Wesołowski zdobył się wreszcie na wyznanie. – Dawno temu mnie zostawiła.

– I jak jest?

– Strasznie. Zresztą już nawet nie wiem jak jest. Ale chyba dalej strasznie.

Ponieważ znowu zapadła cisza i wszyscy kiwali posępnie głowami, Zemilski postanowił rozlać jeszcze odrobinę piotunówki i rzekł wesoło:

– E tam, nie może być aż tak źle, panowie! – ale rozwodnicy nie zwracali uwagi na młodego jurnego chłoptasia, który mógł mieć każdą, gdyby chciał i który nigdy nie był rozwodnikiem.

– Wie pan, ja już niczego chyba nie odczuwam. Może czasem jestem głodny i mi zimno. Zimna to nie lubię – zamyślił się Marian Wesołowski.

– A ja odczuwam wszystko za bardzo. Wszystko odczuwam! – zakrzyknął rozwodnik.

Była to piąta kolejka piotunówki, najlepszy czas na męskie dyskusje o uczuciach.

– Ja panu powiem – ciągnął rozwodnik - że ja już teraz nic z niczego nie rozumiem. Pogubiony jestem totalnie. Byłem mężem i ojcem trójki dzieci, a teraz, na czterdzieste urodziny, zostałem znowu studentem. W pokoju dwóch synów urządziłem siłownię, w pokoju córki trzymam paralonie. Kumple do mnie przychodzą na brydża i whisky, bo u nich są żony i dzieci, i nie ma warunków do grania i picia. U mnie bredzą, rzygają, śpią na podłodze, a potem zakładają znowu krawat, przylizują włosy, wypijają kawę na otrzeźwienie i wracają do rodziny. A ja nie wracam. Nie rozumiem też nic ze świata. Pan rozumie? Ja nic nie kumam! Nic a nic. Telewizor wywaliłem, ale mam ten Internet. Czytam tam te newsy, po polsku, po angielsku i trochę po rosyjsku i kurwa nic nie rozumiem. Dawniej jak były dwa programy w telewizji, a moi rodzice się nienawidzili, ale się nie rozwiedli, to jakoś wszystko rozumiałem, a teraz nic a kurwa nic!

– Widzi pan, pan jest znowu młody. A ja zawsze byłem stary – zachnął się Marian

Wesołowski.

– Pojedzie pan ze mną na paralonie? – zapytał zniecka rozwodnik, a w jego głosie brzmiała prawdziwa nadzieja i zachęta.

– Właściwie, czemu nie? Pojadę. Pewnie, że pojadę. Też bym chciał w końcu być młody, do jasnej cholery.

I tak się zakończył ten dzień. Samymi sukcesami.

## ROZDZIAŁ VII

Turek pojawił się w pubie zniecka. Można powiedzieć, że tego dnia nikt nie spodziewał się Turka. Karola leniwie polerowała szklanki. Było gorąco, lipiec pokazywał swoje duszne śródziemnomorskie oblicze, powietrze zgęstniało i naprawdę dało się słyszeć buczenie tłustych much. Zemilskiego nie było jeszcze w pracy, za to Anna Zemełka wpadła na szybką południową kawę. Kiedy tylko usiadła przy barze, do środka wszedł niewysoki człowiek z wesołymi, żywymi oczami. Jeden lokalny, siedzący w rogu sali, cały się spiął, bo oto do baru wszedł ewidentny cudzoziemiec, a lokalny średnio czuł się w angielskim i zawsze się bał, że jakiś cudzoziemiec coś do niego powie. A jednak, jak się szybko okazało, Turek nie był zabłąkanym turystą, ale mieszkańcem. Prowadził nieopodal nieduże bistro z tureckim jedzeniem. Mieszkał też nieopodal, z żoną Agnieszką i synkiem Tahirem. Jak to się stało, że nikt tam nigdy nie dotarł na lunch, a nawet nie słyszał o tureckim lokaliku?

– Mam na imię Emre – powiedział gość bez zbędnych ceregieli, mrugając wesoło do Zemełki i Karoli.

Zapytał, czy mają może farbę. Jakąkolwiek, byle w dużych ilościach. Nie mógł zostawić bistra i pojechać do sklepu, klienci powinni zacząć lada moment zaglądać po swoje lunche, a on ma na frontowej ścianie napis „Turku wypierdalaj”. Karola od razu się ożywiła i pobiega na zaplecze po farbę, mieli tam kubek białej i dwa wałki malarskie. Anna Zemełka z pozornym spokojem zapytała, kto Emre tak urządził. Sąsiad ze sklepu metalowego. Zemełka wychyliła się nieznacznie w stronę zapple-

cza i zawołała niewinnym głosem:

– Weź jajka z lodówki!

Emre nie bardzo wiedział, co się szykuje, ale pędził chodnikiem wraz z Anną Zemełką i Karolą, które nie pozwalały w niczym się wyręczyć. Karola taszczyła kubek z farbą, Zemełka niosła jajka, a Emre dostał jedynie do potrzymania dwa wałki. Do bistra dotarli dosłownie po czterech minutach, było sprytnie ukryte za rogiem, w krótkiej uliczce. Schludne, maleńkie bistro. Obok rozwalił się sklep z metalowymi akcesoriami i narzędziami. Emre otworzył drzwi i pobiegł do garów, zaraz zejść się stali klienci z pobliskich biur. Zemełka i Karola zrozumiały się bez słów. Karola zaczęła zamalowywać litery na elewacji, podczas gdy Anna Zemełka wkroczyła dumnie do sklepu metalowego z uprzejmym dzień dobry na ustach i nie czekając na odpowiedź przysadzistego typu za ladą zaczęła rzucać w niego surowymi jakami. Celność miała sto procent, a mężczyzna był tak zdumiony, że nie drgnął z miejsca, czym wiele jej ułatwił. Dopiero po piątym jajku zapytał:

– Co pani robi?! – ale Zemełka nie odpowiedziała, tylko obrzuciła go wszystkimi dziesięcioma jajkami z wytłaczanki, biorąc zamach za zamachem, jak zawodowa sportsmenka uprawiająca pchnięcie kulą i czyniła to z coraz większą frajdą. Kiedy jajka się skończyły, spojrzała na oblepionego żółtkami i białkami śmiesznego mężczyznę i wyszła. A w bistro Emre buszował już Zemilski, zaglądał w każdy kuchenny kąt, zafascynowany obecnością nienowego przecież, ale nowo odkrytego sąsiada. Emre był tak skupiony na daniu, które przyrządzał, że zdawał się zupełnie nie pamiętać, że Karolina maluje jego elewację, a Anna Zemełka mści się w jego imieniu. Zemilski też nie wyglądał na zainteresowanego pytaniem, co oni wszyscy tu właściwie robią. Przyglądał się jak Emre swoimi smukłymi dłońmi inteligenta dosypuje delikatne jak maleńkie cekiny płatki chili do jogurtu.

Jakież ten człowiek miał porządek na kuriozalnie kurnikowatym zapleczu! Jak mało miał noży! Jak mało miał wszystkiego! Za to dużo pietruszki. I dużo rozwodnionego jogurtu, który właśnie solił i doprawiał płatkami chili. A jak pięknie wyglądał jego piyaz! Bo oto na ladę wjechała sałatka z fasoli. Emre posypał ją obficie świe-

żutką, posiekaną przed chwilą pietruszką i wyłożył pachnące piekarnią bułki.

Dopiero kiedy Zemilski zjadł solidną porcję tego wszystkiego, zainteresował się powodem sąsiedzkiej wizyty. A wysłuchawszy całej opowieści o Turku i jego metalowym wrogu, powiedział:

– Zaraz wracam – i wyszedł.

Przysadzisty typ wciąż siedział w metalowym sklepie za ladą, oczyszczony z jajek, w przebranej świeżo śnieżnobiałej koszuli z kołnierzykiem i krótkim rękawem. Majstrował przy starym turystycznym radyjku z wysuwaną jak czułek anteną. Nie chciał przestać wydawać szmerów, przez które ledwo przedzierał się głos spikera, a potem jakaś skoczna piosenka. Skąd on wziął takie radio?

Sklep był cały zakurzony, co od razu wzbudziło w Zemilskim sympatię. Na wysokich po sufit mosiężnych półkach leżały ciężko rozmaite metalowe przedmioty. Ogromna ilość rur i rurek, prętów, płaskich prostokątów, elementów do prysznic, baterii łazienkowych i kuchennych. Na dole w pudełkach leżały kopczyki śrub i śrubek, był też dział z piłkami do cięcia metalu i z innymi metalowymi narzędziami. Na ziemi, oparte o półki, w rzędach defilowały fragmenty samochodowej karoserii, stare osłony piecyków gazowych i długie piły do cięcia drewna. Był to więc nie tylko sklep, ale też komis. I był to raj. W tym sklepie można było z pewnością znaleźć wszystko, co metalowe. Zemilski rozejrzał się i miał wrażenie, że znalazł się w magicznej krainie. Przez chwilę zapomniał, po co właściwie tu przyszedł i zaczął krążyć pomiędzy półkami, dotykając zakurzonych metalowych przedmiotów z onieśmieleniem i zachwytem. Tyle tu było tych wszystkich rzeczy, z których można zrobić - wiercąc, przykręcając i spawając - bardzo dużo różnych innych rzeczy. Zemilski nie miał niczego konkretnego na myśli, gdzieś tam majaczyła wizja czołgu, to znów łodzi podwodnej albo monstrualnej wielkości robota. Z marzeń wyrwał go dobroduszny głos właściciela sklepu:

– Czego pan szuka? To pomogę.

– Niesamowite miejsce! Dlaczego ja tu nigdy wcześniej nie byłem? Mam knajpę za rogiem.

- Bo to jest zaczarowany zaułek, dla wtajemniczonych.

- Od dawna pan ma ten interes?

- Od kiedy mnie na świecie nie było. Rodzinny biznes. Dziadek założył.

- Ale pan musiał mieć piękne dzieciństwo. Fiu, fiu!

- A żebyś pan wiedział! Jako szkrab buszowałem tu wszędzie, pamiętam jak się pod tą najniższą półkę mieściłem bez schylania. Dziadek mi pozwalał bawić się piłkami do żelaza, matka ręce załamywała. Piękne czasy.

- Radyjko też po dziadku?

- A jakże. Mógłbym kupić nowe, ale nie potrafię, wie pan? Serce mi się ściska jak myślę, że mam ten tranzystor ot tak wywalić. Przecież to jakbym kawałek dziadka na śmietnik oddał.

- Rozumiem do spodu. Ja też wszystko zbieram. Musi pan wpaść do mnie na piwo to pan zobaczy. Dwa kroki stąd.

- A byłem tam ze dwa razy, owszem, byłem. Masz pan tam metalowe drzwi pordezwiąże

z kłódką. Ja bym panu wymienił na nowe, ale pan pewnie nie chce wymieniać.

- Nie mogę – potwierdził z powagą Zemilski. – To po wujku. Żyje, ale na emigracji. Nie chcę ruszać jego drzwi. Pięknie skrzypią, dam panu posłuchać, jak pan przyjdzie.

Zemilski nagle pojął, że właśnie zaprzyjaźnia się z mężczyzną, którego przyszedł zrównać z ziemią, niczym żelazny czołg za to, że gnębi ordynarnie Bogu ducha winnego Turka. Przybrał więc bardziej oficjalną minę i wyprostował się.

- A wpadnę, pewnie że wpadnę – nieświadomy stanu wojny w jakim się znajdował, właściciel metalowego sklepu zdawał się również pałać do Zemilskiego sympatią.

- A pan tu ma za ścianą przemiłego sąsiada, tego Turka. Ja u niego codziennie jem – skłamał Zemilski, ale pomyślał zaraz, że owszem, teraz będzie codziennie jadł u Emre.

- A idź pan. Brudne ścierwo. Tfu mi z Turkami.

Najgorsze były oczy tego typu. Najgorsze i najlepsze. Miał opadające na oczy

powieki, które z marszu czynią, z każdego, nawet największego imbecyla, niemal mędrca. Czy kobieta, czy mężczyzna, czy rasista. Każdy bez wyjątku. Zemilski miał słabość do tych oczu. Może dlatego podobały mu się często znacznie od niego starsze kobiety. Bo im już twarz nie trzymała się tak sztywno, oczywiście jeśli nie napakowały się botoksem, fundując sobie wieczne uniesienie brwi. Tym kobietom często opadała powieka, przez co wyglądały na diabelsko inteligentne, jakby posiadały jakąś wyjątkową wiedzę i moc. Zemilskiego ogromnie to podniecało. W mężczyznach zaś budziło jego podziw i pchało go w przyjaźnię z takimi typami. Pech chciał, że i ten obrzydliwy typ ze sklepu metalowego miał opadającą powiekę, która haniebnie dodawała mu wiarygodności, gdy wypowiadał te swoje brednie:

- Panie, po co oni tu przyjeżdżają, ja się pytam? Ja się o nic nie kłócę, ja tylko zadaję to pytanie, czy oni nie mogą siedzieć u siebie? Ja na przykład siedzę u siebie. Ja nawet rzadko kiedy za miasto wychodzę, na wakacjach byłem ostatnio w '87, a języków nigdy się nie uczyłem. Po co? A co to ja swojego języka nie mam? Każdy niech się uczy swojego języka i siedzi u siebie. Panie, ja nie robię awantur, ja nie jestem uczony astronom, myślę prosto, ale uczciwie. Ja się po prostu boję obcych. Czy ja nie mam prawa się bać?

- Ale czego pan się boi? Emre? To pocziwina. On zresztą boi się pana.

- Mnie? No i dobrze, ja go specjalnie postraszyłem pierwszy, zanim on postraszyłby mnie.

- A jeśli to jest porządny, spokojny człowiek? Gdyby pan nie bazgrał mu po elewacji moglibyście się spotykać na papierosie na chodniku, albo się odwiedzać. Pan by sobie u niego jadł obiady, a on by u pana kupił jakąś rurkę. Nie lepiej by było?

- Panie. Wiadomo, że byłoby lepiej, ale z Turkiem?

- A dlaczego nie z Turkiem?

- A bo to wiadomo, jak to jest z takim Turkiem? Przecież tłumaczyłem panu, że to jest obcy, z innej kultury, ja się obcych boję, no po prostu źle się czuję w ich towarzystwie, nie wiem, co oni wywiną, terroryzm, czy kota zabijają, trudno powiedzieć. Szalenie trudno - mężczyzna z inteligentnymi powiekami był zadowolony, że

nagle wpadło mu do głowy „szalenie”, i to akurat kiedy poczuł, że powinien użyć jakiegoś wytwornego słowa. Zemilski nie chciał dalej rozmawiać o Emre.

Właściciel metalowego wydał mu się sympatyczny, z pewnością zaprzyjaźniłby się z nim w innych okolicznościach. Wpadałby do jego sklepu podziwiać każdą nową dostawę, u siebie dałby mu dużą zniżkę i cieszył się, gdyby miał go przy barze. Są tacy ludzie, którzy wydają się znajomi, nawet jeśli się ich widzi po raz pierwszy na oczy. Tak było z tym typem. Budził sympatię Zemilskiego, choć Zemilski wcale tego nie chciał. Było to tak samo okropne jak chwile, kiedy do baru wchodziła kobieta, której nie lubił, nie chciał z nią rozmawiać, uważał ją za idiotkę, ale zupełnie nie mógłby jej odmówić seksu, gdyby tylko o to poprosiła. Ten dziwny, niesterowalny pociąg do ludzi męczył Zemilskiego i złościł. Tak samo było z człowiekiem o inteligentnych powiekach.

– Prywatnie to ja bym może nawet tego Turka polubił – snuł dalej swą opowieść metalowy – ale to Turek.

Zemilski nic już nie powiedział, tylko pomyślał, że prywatnie to on by tego właściciela sklepu metalowego lubił, ale to tępy ćwok.

Kiedy siedzieli potem u Emre w bistro, popijając przyniesione przez Zemilskiego z baru półstodkie wino, czuli się spełnieni. Turek tymczasem był pogrążony w smutku. Rozumiał, ale jednocześnie nie rozumiał, dlaczego spotyka go nienawiść sąsiada ze sklepu metalowego. Co w nim jest takiego, co zmusza tego człowieka do bazgrania po elewacji?

– Wszyscy kiedyś oberwali. Zawsze coś się nie spodoba, a to wygląd, a to rasa, a to jak się patrzysz. Nigdy nie wiesz, kiedy oberwiesz. Wszyscy to mają – Zemilski mówił tak, bo wiedział, że w jakiś magiczny sposób człowieka pociesza, gdy słyszy, że ma „jak wszyscy”. Oczywiście wtedy, gdy chodzi o sprawy beznadziejne. Kiedy chodzi o coś dobrego, każdy liczy zwykle, żeby „wszyscy chcieli mieć jak on”.

Emre potakiwał bez przekonania, słyszał to już nie raz i zupełnie nie dawał się nabrać na „wszystkich”. Z satysfakcją przyglądał się jednak, jak Zemilski pochłaniał drugą porcję jego piyazu.

– Dodaję bardzo dużo pietruszki i bardzo dużo cytryny – tłumaczył, uszczęśliwiony. Emre szczerze cieszył się z nowych przyjaciół i starał się przyjąć gości wytwornie, wykonując niemal coś w rodzaju origami z papierowych serwetek, bo same w sobie nie prezentowały się zbyt godnie.

– I do tego jogurt z wodą, ajran. Ale czasem, jak się zamyślę, to pełną szklanekę zamiast na stół to do śmieci wyrzucę. Z roztargnienia.

Anna Zemełka wzięła delikatnie do ręki papierowe origami, obracała je w palcach. Co mogło przedstawiać? Zamek? Łódź? Maskę? Zemilski zauważył to i delikatnie wzięł ręce Zemełki w swoje. Przekręcił trzymaną przez Zemełkę serwetkę i orzekł:

– To jest galaktyczny śmieć.

– Meteor.

W tym zawierało się wszystko, czego od siebie oczekiwali. W delikatności, z jaką niedelikatny Zemilski trzymał w swoich dłoniach dłonie niedotykałkiej Zemełki. Zawierało się to w czystości tak wielkiej jak w szkole podstawowej, kiedy przytrafia nam się coś na tyle wartościowego i wyjątkowego, że boimy się oddychać, by tego nie zepsuć. Dobrowolnie rezygnujemy z użycia, bo wydaje nam się ono dewastacją. Przychodzimy tylko czasem popatrzeć. Emre był człowiekiem delikatnym. Bardzo chciał widzieć w ludziach same dobre cechy, wszystkich usprawiedliwiał. Także swoją żonę, co czynił zresztą słusznie, bo choć Agnieszka nie była sympatyczna ani delikatna, to miała głowę na karku i tylko dzięki jej zaradności bistro Emre w ogóle jeszcze istniało. Uśmiech Turka nie był w żadnym razie fałszywy, ale można powiedzieć, że Emre rozdawał go ludziom na kredyt. Bardzo chciał wierzyć w powszechną dobroć i uparcie uśmiechał się do każdego, kto wszedł do jego bistra, choć wielu klientów niespecjalnie sptać ten dług.

Dobrotliwy i ślamazarny Turek. Zarówno Zemilski jak i Anna Zemełka zdziwili się, kiedy wpadając popołudniami na kawę, Emre zaczął ukradkiem pluć do szklanek wrednych ludzi. Co więcej, bezbłędnie ich wybierał, nigdy nie zdarzyło mu się napluć komuś niewinnemu, kto po prostu miał zły dzień. Emre nie sprawiał wrażenia osoby mściwej, która mocuje się ze światem. Wszyscy myśleli, że mocuje się



jedynie ze swoim biznesem, który od początku istnienia wisiał na włosku, dyndając gdzieś między minimalnym dochodem a plajtą. Nikt nie wiedział, dlaczego Emre przystąpił do grupy odwetowej, bo nikt nie słyszał opowieści jego tureckiej babki o młodzieńcu, który zwątpił w świat. Była to ulubiona opowieść Emre i kiedy był mały, babka niemal codziennie musiała mu ją opowiadać do snu. W ten sposób bajka z kilku zdań rozrosła się do rozciągliwej i kurczącej, w zależności od potrzeb, przypowieści, którą dorosły już Emre serwował swojemu synowi Tahirowi. Często opowiadał ją również sobie samemu, kiedy gotował w bistro albo nie mógł zasnąć: Był sobie raz młodzieniec o kruczoczarnych, śliskich jak olej i miękkich jak jedwab włosach. Nosił koszulę w kolorze pudrowego różu, z miękkiej cieniutkiej bawełny, zrobioną przez jego młodą żonę o włosach takich samych jak jego, lecz długich za pas i gęstych tak, że mogłaby nimi obdzielić dwie inne kobiety. Na nogach młodzieniec miał lekkie spodnie z lnu, a na stopach wygodne kierpce z wyrobionej skóry. Nigdy nie było mu za gorąco, ani za chłodno. Kiedy ubranie się pruć, żona reperowała je tak, że nie było widać śladu. On za to dbał o rodzinę, przynosił do domu owoce i warzywa, króliki i słodkie dżemy oraz miód. Dżemy były dla syna i córki, dzieci lubiły słodkości i były grzeczne, lecz nie przesadnie, dlatego młodzieniec powtarzał, że mu się udały. Gdy młodzieniec był w wieku swego syna, przyplłynął w tę okolicę wraz z rodzicami na niewielkiej tratwie pchanej przez wiatr, który dał w żagiel zrobiony z kwiatów gardenii. Rodzice byli ludźmi dobrymi i byli idealistami. Matka zbierała kwiaty i robiła z nich wonne kąpiele w balii dla zmęczonych kobiet i mężczyzn, a także dla zwierząt. Ojciec był mędrce, do którego z całej okolicy ciągnęły zagubione dusze po radę i ojcowskie słowo, bo ludzie wiedzieli, że mędrzec ten nikogo nie pozostawia bez odpowiedzi.

Zamieszkali w lesie pełnym kolorów, tuż przy maleńkiej zatoczce, w którą wpływała woda z oceanu, lecz była ciepła i łagodna, bo zatoka otaczała ją opieką i nie pozwalała na wzburzenie. Nad wodą zwisały liany, które mieniły się niebywałymi kolorami: seledynem, odcieniami różu, szmaragdu, fioletu i żółci, a kolory były soczyste i wyraziste. Las także mienił się i był to jedyny las w okolicy, w którym tak

wiele było różu i błękitu, zupełnie jakby składał się z chmur i zachodów słońca. Na obrzeżu lasu rostał winorośl, a kiście winogron były ciężkie. Tuż nad zatoką unosiły się nieduże tęczowe bańki, z wody co jakiś czas wyskakiwała rybka, która zaraz z pluskiem nurkowała w potulnej toni. Na horyzoncie widać było przezroczyste skały w kolorze piasku i bladego lila. Były mieniące się jak kryształy. Słońce nigdy do końca tam nie zachodziło i do końca nie wschodziło, a w zaroślach i między drzewami wciąż odbywało się ciche życie, praktyka codzienności w raju, której oddawały się fantazyjne zwierzęta o nieznanym imionach, łagodne i przyjazne. Niektóre z nich zostawiały ślady łap na niebie. Dlatego ojciec młodzieńca, mędrzec znany w okolicy z dobrych rad, zdumiał się, gdy pewnego dnia, po latach przeżytych szczęśliwie w zatoce, syn oznajmił mu, że utracił wiarę w świat. Ojciec młodzieńca zatoczył krąg ramieniem, wskazując na wszystko to, co ich otaczało. Pokazał na młodą żonę, na dzieci i zapytał, co też synowi przyszło do głowy. A młodzieniec odpowiedział, że był niedawno na wycieczce i odbył turystyczny lot balonem nad ich rodzinną krainą. „Nie wiem, czy dasz wiarę, ojcze, ale nasza kraina ma kształt umęczonej ludzkiej głowy, zwieszanej nisko z podbródkiem przy piersi”. „Co ty mówisz?” zdumiał się ojciec i nie uwierzył. A wtedy syn opowiedział ze szczegółami, że wszystkie te nieadekwatne kolory, które tworzą bajeczną krainę nad zatoką, są w istocie odcieniami ludzkiej głowy. To oczy z tęcząwką i plamkami, to rumieńce i pryszcze, to włosy płowe, mieniące się refleksami, karminowe usta, strup krwi na czole i sina strużka żyły na skroni. Te wszystkie kolory pozornie są piękne i bajeczne, lecz z perspektywy balonu tworzą umęczonego, zrezygnowanego człowieka. To wszystko jest kłamstwo, młodzieniec był pewien. Wtedy ojciec poddał się i przyznał, że wie tym o wszystkim, lecz nie miał nigdy dość odwagi i okrucieństwa, by wyznać prawdę przed młodzieńcem i resztą rodziny. Gdy się splotziło dzieci, trzeba uwierzyć w piękno świata, na które się je sprowadziło. Nie wolno ich wołać na świat, w który nie wierzysz. Młodzieniec pokiwiał głową. Też kiedyś tak myślał, lecz po locie balonem zrozumiał, że popełniał błąd. Nie chce już wierzyć w piękno świata, który nie jest piękny, chce stworzyć piękniejszy świat.

Co postanowił, to zrobił. Na bajecznej plaży wybudował dom z surowego drewna, deski skrzypiały, oddychały i były zdrowe jak najzdrowsze żrebie. W środku urządził wszystko prosto, bez zbędnych kolorów i fałszywych refleksów. Od iluminacji, które wiecznie rozświetlały zatokę, oczy domowników chroniły tetrowe zasłony i muślinowe białe firany, pachnące wiatrem. Łóżka wypełniały materace, nie za miękkie i nie za twarde, przykryte białymi prześcieradłami. Na stole stały kwiaty z łąki, te mniej okazałe, których zwykle się nie zauważa, a na śniadanie jedli miód i dżem, na obiad królika i warzywa, na podwieczorek owoce. Przed domem była studnia ze źródlaną wodą. Wychodek był na zewnątrz, a zabawki dla dzieci młodzieniec robił z kory drzewa i kamyków. Na noc zasłaniał zasłony, bo tęsknili za prawdziwą nocą, po której mógłby przychodzić prawdziwy dzień. Rankiem odsłaniał zasłony i cieszyli się ze światła, z kolorów za oknem. Codziennie na nowo je odkrywali i pokazywali sobie nawzajem. Kiedy tęsknili za bajecznością, wybierali się na wyprawy do lasu i plażowanie w zatoce, ale nie robili tego za często. Teraz młodzieniec był zadowolony. Stworzył raj, w który potrafił uwierzyć i który mógł bez kłamstwa ofiarować swoim dzieciom. Ojciec młodzieńca odwiedzał ich czasem. Raj syna wcale mu się nie podobał, lecz wreszcie przywykł. Pogodził się z tym, że raj, który sam niegdyś wybudował, był zbyt krzykliwy, by syn mógł w niego uwierzyć. Z całą pewnością nikt nie przewidział, że Emre stanie się powodem wszystkich tych wydarzeń, które nastąpiły później. Mówiąc wprost, Emre nie wyglądał na powód do czegokolwiek.

Wkrótce Emre zaprosił nowych przyjaciół do siebie na niedzielny obiad. Mieli wspólnie gotować, ale szybko okazało się, że Zemilski jest królem kuchni. Po prostu zagarnął cały teren dla siebie i swoich popisów kulinarnych. Mógł tam przebywać jedynie Emre, którego Zemilski mianował swoim kuchcikiem. Reszta była zobowiązana pytać o możliwość zajrzenia do garnka i nie powinna była tego czynić zbyt często i niegrzecznie. Można było donosić Zemilskiemu wino. Całe szczęście kuchnia była otwarta na salon, zatem kulinarny despotyzm nie przeszkadzał Zemilskiemu w towarzyskim spełnieniu.

Karola wpadła ostatnia, spóźniona dwie godziny i hałaśliwie roześmiana. Miała na sobie to samo ubranie, co poprzedniego dnia, ale starannie wyprasowane, była świeżutka. Kręciła się jak bąk, przytulała, witała, sprawdzała co w garnkach i wybuchowała śmiechem, przytulając się mocno do chłopaka, z którym się pojawiła. Zemilski zmierzył ją pełnym dezaprobaty wzrokiem. Przyprowadziła tego samego gościa, który wczoraj w barze pił wino z aperolem konsekwentnie, dopóki z nim nad ranem nie wyszła. Karola chwyciła karcący wzrok Zemilskiego, spuściła oczy. Ale zaraz zapomniała, zaraz znowu śmiała się głośno, odrzucając do tyłu głowę. Radość ot tak jest podejrzana. Albo wynika z rozpacy, albo z używek, albo z pomieszania zmysłów. Nie łagodny uśmiech, poczucie dobrostanu, ale radość, musi być od czegoś odbita, musi obok czegoś stać, mieć kontekst i powód. Prawdziwa radość jest zawsze o czymś i jest chwilą. Dlatego Zemełka nie wierzyła w radość Karoli. W jej zbyt głośnym śmiechu i zbyt wielu szerokich gestach drzemał ludzki strach, którego doświadcza każdy. Karola była za młoda na to, by strach ten oswoić, bo niedawno go powitała. Kiedy skończyła być dzieckiem, wkroczył pan niepokój, który, o czym jeszcze nie wiedziała, miał jej już nigdy nie opuścić. Nie umiała się jeszcze z nim ułożyć. Chciała go wykurzyć, dlatego wódka, tuziny kochanków-łapserdaków, dlatego śmiech, dlatego nadruch i nadchichot. Zemełka była jednak spokojna. To przejdzie, dziewczyna jest mądra, ułoży się ze swoim strachem. Zemełka patrzyła, jak Karolina popija piwo z butelki i całuje się z chłopakiem, którego wczoraj poznała. Wydawał się sympatyczny i zupełnie zagubiony w tej przygodzie z dziewczyną, która była jak jej włosy – olśniewająca i nadmierna. Może więc Karolina nie robiła ze swoim życiem tak wiele, jak by mogła. Niektórzy żalowałiby jej, tak uzdolnionej matematycznie dziewczyny, która mogłaby zrobić naukową karierę, gdyby ktoś potraktował ją poważnie. Może gdyby zechciała się dopasować i ułożyć wygodnie w foremce? Ale te jej blond loki, bezczelna burza, szwał, spienione morze, o którym nie wiadomo co myśleć. Czy jest to kicz, czy zachwycająca artystyczna prowokacja? Czy to jest pornografia, czy niepoohamowana liryka? Paznokcie. Różowe. Nie ma poważnego matematyka o różowych paznok-

ciach. Plastikowych, przyklejonych, długich i w szpic. To zgrzyta tak poważnie, że trudno byłoby się pogodzić z tytułem doktora dla różowych tipsów. Biust, który był ogromny. Przy niskim wzroście dziewczyny wydawał się być kluczową częścią jej istnienia. Kipiała i wydawała się stworzona do wszelkich bezmyślnych radości. Bo jak to się tak radować? Poważne umysły wiedzą na logikę, że życie to mozół. Że idzie się w piach. Że nicość i bez sensu. A tu wielkie piersi, które podważają bezczelnie wszelką ponurość.

Karola była czyściutka i pachnąca. Miała wypielęgnowane dłonie i stopy. Jej włosy wydzielały kwiatowy aromat. Usta były mięciutki. Cera delikatna i lekko różowa. Codziennie Karolina wkładała wiele wysiłku w to, żeby być piękną dziewczyną. Układała wokół siebie rozmaite rzeczy tak, by ładnie się prezentowały. Wiązała krawaty kolegom, kiedy szli na śluby i ich czesała. Myła codziennie podłogę w kuchni i nie potrafiła usnąć, zanim nie wypucowała góry naczyń nasiąkających płynem w zlewie. Gdy się zjawiała, ludziom podnosiły się kąciki ust. Wnosiła słońce. Ludzkie, niedoskonałe, wiosenne. Pachniała bezpieczeństwem i starała się, żeby było ładnie. Czy to mało?

Karola chwyciła wzrok Zemełki i wyjaśniła:

– Całą noc się pieprzyliśmy. To dla mnie romantyczne. Zawsze jest mi romantycznie. Pardon za słowo, nie jestem jeszcze damą za bardzo.

Anna Zemełka spojrzała czule na dzikuskę i powiedziała to, co sama chciała usłyszeć, kiedy była w wieku Karoli, ale nikt jej tego nie powiedział:

– Jeszcze masz czas na damę.

Karola uśmiechnęła się do Zemełki, wdzięczna za odpuszczenie grzechów, a Zemełka uśmiechnęła się do niej. Jak dziewczyny z jednego podwórka, które mają wspólną tajemnicę. Zemilski gotował wyśmienicie i w zaskakująco wyrafinowany sposób.

– Gdzie się pan nauczył tak gotować? – zapytała Zemełka spodziewając się odpowiedzi w stylu „w domu dziecka”, „w więzieniu” lub chociaż, że nauczył go dziadek, upadły arystokrata, który samotnie go wychowywał, ale potem umarł i wtedy

Zemilskiego wzięli do domu dziecka, gdzie gotował dla wszystkich podopiecznych i do dziś krążą tam o nim legendy.

– W gastronomiku – odpowiedział Zemilski.

– To dlaczego?

– Co dlaczego?

– Dlaczego pan jest taki dziwny?

– Ja nie jestem dziwny. To wszyscy inni są dziwni.

Zemilski mieszał w garnkach, siekał, smakował, szperał energicznie w szafkach Emre w poszukiwaniu przypraw. Wyglądał na człowieka absolutnie pewnego tego, co robi, choć sam przyznał, że potrawa, którą gotuje, jest wynikiem totalnej, ryzykownej improwizacji. Ta pewność mimo wszystko i wbrew wszystkiemu towarzyszyła Zemilskiemu od dawna. Przypominał sobie, kiedy jako nastolatek gotował matce rosół, tłukł ziemniaki z masłem i kotlety, a potem przynosił jej to wszystko do łóżka i siedział obok na rozlatującym się szorstkim fotelu, dopóki nie zjadła przynajmniej połowy każdego dania. Matka fatalnie przeżyła odejście ojca. Zemilski i jego siostra poradzili sobie znacznie lepiej, ale może właśnie dlatego, że matka wpadła w bezdenną depresję. Musieli się nią zająć i nie mieli czasu skupiać się na własnej wściekłości, rozpacz i bezradności. Czasem Zemilski zastanawiał się, czy matka specjalnie nie wpadła wtedy w depresję, żeby ich przed nią ochronić. Emre był niewiarygodnie owłosionym mężczyzną. Miał włosy dosłownie wszędzie, czarne i grube, jakby natura wyposażyła go w taką broń z powodu miękkiego serca. Owłosienie równoważył jego uśmiech, który był tak pocziwy, że aż nie budził zaufania. Kryć się za nim mogła cwana kupiecka natura i zacieranie rączek, gdy nikt nie widzi. Ale tak nie było. Emre był dobrotliwy i nie kryło się za tym już nic ciekawego, może tylko liczne ostatnio akty odwetowe, których dokonywał z Zemełką, Zemilskim i Karolą, a które niejednokrotnie wymagały posiadania w sobie pokładów okrucieństwa, złości i pogardy. Emre nigdy nie mówił źle o osobach, na których wraz z towarzyszami się mścił i którym pluł do drinków. Zwykle rzucał uwagi o ładnych włosach, schludnym ubiorze lub poprawie, która z pewnością stanie się

udziałem delikwenta. A jednak fakt, że stać go było na akty odwetowe, świadczył niezbicie o tym, że Emre nie był jedynie chodzącą łagodnością. Emre był ludzki. Emre znał na pamięć opowieść o mężczyźnie, który zwątpił w świat.

Zwykle słuchał swojej żony jak matki, ale zdarzały mu się wybuchy gniewu i wtedy Agnieszka potulnie przyznawała mu rację. Bo też w tych przypadkach racja była po jego stronie. Kłótnie dotyczyły najczęściej ich synka Tahira. Chłopiec miał kłopoty w szkole, bił się i awanturował. A czasem zanosił się płaczem i mówił, że do szkoły nie pójdzie, bo śmieją się z jego imienia. Mówią na niego Srahir-Dupahir.

Kiedy gotowali i popijali lekkie alkohole, Tahir wrócił ze szkoły zapłakany. Szkoła była tuż obok, często więc chodził i wracał sam, zależało mu na tej odrobinie samodzielności i potwierdzeniu, że w pierwszej klasie jest się już dorosłym mężczyzną. Emre to rozumiał, pozwalał mu chodzić i wracać ze szkoły bez opieki. Tego dnia Tahir wpadł do mieszkania z głośnym szlochem i zamknął się w łazience. Wszyscy bardzo się przejęli, trzeba przyznać, że lekkie alkohole sprzyjają wzruszeniom i wszelkim mocnym emocjom. Utkwili pod drzwiami łazienki Emre i błagali płaczącego wniebogłosey Tahira, żeby wyszedł i powiedział, co się stało. Nic z tego, chłopak uparł się płakać w wannie bez wody. Wreszcie żona Emre kazała wszystkim wrócić do gotowania i picia lekkich alkoholi, a sama wtedy po cichutku wywabiła syna, który wyszedł z łazienki i natychmiast rzucił się w jej ramiona. Poszli razem do dzieciennego pokoju i tam Tahir wszystko mamie powiedział.

– Szlag mnie trafi – oznajmiła Agnieszka.

– Srahir-Dupahir? – zapytał spokojnie Emre, który zdążył już nawet przywyknąć do przewiska syna.

– Nie. Tym razem Marek powiedział mu, że jest brudny, że zaraża inne dzieci robakami

i nie pozwolił mu zjeść śniadania przy kolegach. Zamknął go w toalecie i tam mu kazał zjeść.

– Który to ten Marek?! – ryknął Zemilski znad garnków.

– Marek ma osiem lat – uspokoił go Emre. – Ale sam bym go zabił. Nie możemy tego tak zostawić.

– Absolutnie nie możemy – przytaknęła Anna Zemełka. – Idziemy.

– Zaraz – zaprotestowała Agnieszka – co wy chcecie zrobić?

– Jebnąć Markowi – oświadczył Zemilski.

– Nie – zaprzeczyła Anna Zemełka – chcemy dać Markowi nauczkę.

– No mówię przecież.

– Nigdzie nie pójdziecie – zdenerwowała się Agnieszka. – Możecie wyczyniać te swoje głupstwa w barze, ale nie w szkole mojego dziecka. Co zrobicie? Naplujecie mu do soczku?

– Może i naplujemy. Idziemy – Emre wstał gwałtownie z kanapy i widać było jak wzbiera w nim fala gniewnej wojowniczości, co zdarzało się niezwykle rzadko i było piękne. – Idziemy! – powtórzył, a Zemełka i Zemilski wstali na jego komendę, bo taki był ładny z tą swoją chwilową stanowczością.

Karola była zajęta chłopakiem, machnęli więc na nią ręką, w stanie tak idiotycznego rozchichotania i tak się do niczego nie nadawała.

Agnieszka nie zdołała ich powstrzymać. Zresztą Tahir znowu zaczął płakać, więc nie miała już głowy do kompanii odwetowej, zajęła się kojeniem nerwów syna.

Kiedy wchodzili na teren szkoły, Zemełka zauważyła, że budynek okalają stare dęby. Miały mocne pnie, pokryte skórą jak u słonia. Nagle Zemełka zapragnęła sprawdzić, czy podobnie jak skóra słonia, która tylko wydaje się być szorstka, są miękkie i ciepłe. Podeszła do jednego z drzew, miało okazały pień, dotknęła go, ale kora była twarda i ostra. Mimo to ciepła i zachęcała do tego, żeby przyłożyć do niej policzek. To by jednak idiotycznie wyglądało, więc Anna Zemełka ograniczyła się do pogłaskania drzewa i zaraz dogoniła Zemilskiego i Emre, którzy już wchodzili do szkoły. Gdy szli korytarzem, Anna Zemełka dostrzegła siwą kobietę z parku.

Była niemal pewna, że to ona. Siedziała spokojnie na ławce przy ścianie i czekała, ubrana w schludną brązową spódnicę i białą bluzkę z koronką pod szyją. Zemełka odwróciła się jeszcze za starą, ale ta patrzyła na nią na przestrzal, nie poznawała



Zemełki. Może więc to nie była ta siwa z parku, ale całkiem inna. Stare kobiety są do siebie bardzo podobne. Dopadli Marka w chłopięcej toalecie. Był tak przestraszony, że posikał się w majtki. Strużka moczu spłynęła nogawką na posadzkę.

– Gdzie mieszkasz? Pytam się, gdzie mieszkasz?! – pięść Zemilskiego była niemal tak okrągła i duża jak głowa Marka.

– Na Śliskiej 45 – wydukał chłopak.

– To pamiętaj – Zemilski kazał mu powąchać koleżankę pięść, zgrywał się i szalenie go to bawiło, ale chłopak był przejęty naprawdę – że jeśli jeszcze raz przypieprzysz się do Tahira, to cię tam znajdziemy i spuścimy ci taki łomot, że się w lusterku nie poznasz. Anna Zemełka cierpliwym gestem odsunęła Zemilskiego od biednego, posikanego dziecka. – Chodzi o to – tłumaczyła spokojnym głosem, pochylając się nad nim, aż czuł słodkość jej perfum zmieszanych z ciałem – żebyś był już grzeczny. Będziesz?

– Będę – zapewnił z trudem panujący nad histerią, odurzony tym, co się działo, Marek.

Kiedy następnego dnia siedzieli w barze i opowiadali o wszystkim Pająkowi, ten, chociaż był potwornym rasistą, aż zakapiał ze złości.

– Co za biały gnój z tego Marka!

– To tylko dziecko – zauważyła Karola, układając szklanki na półce.

– Gównu, dziecko! Kolegów z klasy się szanuje!

– Przecież ty na mnie mówisz „czarne gówno”, a jesteśmy kolegami z baru – zauważył sceptycznie Emre.

– Gówno tam.

Nie było dokładnie wiadomo, co Pająk chciał przez to powiedzieć, ale wszyscy widzieli, że w jego wnętrzu, w głowie i sercu, toczy się jakaś walka. Wreszcie oznajmił:

– Będę chodził do tej szkoły i będę gówniarza straszył.

Karola nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. To był ten głośny chichot, którego nie potrafiła nigdy w porę opanować. Zawsze śmiała się przynajmniej o kilka sekund za długo.

– Za ducha się przebierzesz? – zagadnęła, zadowolona z żartu.

– Ja się, dziewczyno, za nic nie muszę przebierać, żeby się mnie bali. I Pająk, jak powiedział, tak zrobił. Co kilka dni brał urlop od swoich mafijnych obowiązków i zjawiał się przed szkołą podstawową, gdzie wyczekiwał na niegrzecznego Marka, którego wskazywał palcem, a potem demonstrował tym samym palcem jak mu podrzyna gardło i jeszcze mu tym palcem groził oraz wygrażał pięścią. Robił to tylko wtedy, jeśli chłopca nikt z dorosłych nie odprowadzał, a tak właśnie działało się najczęściej. Marek dzięki temu doznał spektakularnej przemiany z łobuza w chłopca cichego i zahukanego. Dobrze wiedział, od kogo jest Pająk i dlaczego mu tak wygraża. Zaczął skrycie nienawidzić Tahira, ale nie śmiał już ani razu nazwać go Srahirem-Dupahirem.

## ROZDZIAŁ VIII

Któregoś dnia Anna Zemełka urwała się z akcji szczucia psami burmistrza pobliskiego miasteczka. Burmistrz ten kazał łąpać bezpańskie psy i więził je w piwnicach miejskiego ratusza, dopóki nie zdechły z głodu lub wzajemnie się pozagryzały. I właśnie teraz, gdy Zemełka szła ulicą, Zemilski wraz z Emre udali się z pożyczonym od znajomego amstaffem do burmistrza, szczuli go uradowanym i skorym do zabawy psem, i patrzyli jak burmistrz w panice błaga, by zabrali od niego tę brudną bestię.

Wcześniej jednak jechali po amstaffa tramwajem. Na kolejnym przystanku wsiadła kobieta z błyszczącą klamrą w spiętych włosach. Po chwili odebrała telefon dzwoniący wesoło piosenką popowej amerykańskiej wokalistki i powiedziała głośnym, mocnym głosem: Halo? Cześć. Nie mogę rozmawiać, jadę tramwajem. Tak, byłam. Nie było. Wczoraj. Daj spokój, w weekend byłam na Śnieżce i chciałam lwonce przywieźć pamiątkę z gór, ona zbiera aniołki, nie było aniołków, ale był taki biały pies górski, figurka, kupiłam jej, już babka zamykała, ale ja mówię jej, muszę

mieć dla córki coś oryginalnego ze Śnieżki, i daję to Iwonce, a ona, ta figurka, ma na dole napis made in czajna, wykonane dla jakiegoś tam wrocławskiego przedsiębiorstwa. No to co to za figurka ze Śnieżki? Strasznie się wkurzyłam, mówię ci. No. No tak. Nie no, jasne. Moja koleżanka dostała portmonetkę z Kanady od syna i było napisane made in Poland, jaja, co nie? No fajna była, fajna. Ale made in Poland. Oszukaństwo wszystko, a wczoraj jechałam pociągami wiesz, tym co mają te przedziały ciszy, ale ja jechałam normalnym, a tam jechała taka babka z dzieckiem, z pięć lat chłopczyk miał, jak on się śmiał, nie uwierzyłybyś, cały czas, całą drogę, a ja tylko myślałam, że mogłam kupić bilet do tej strefy ciszy, a potem myślałam, jak temu dziecku chce się tak bez przerwy śmiać, no mówię ci bez przerwy się... I wtedy Zemilski podszedł do tej kobiety, wyjął jej z rąk telefon i wyrzucił przez okno.

Anna Zemełka zwolniła się ze skądinąd zabawnego przedsięwzięcia straszenia burmistrza, ponieważ uznała za konieczne pójście do fryzjera. Tymczasem kroczyła słonecznym chodnikiem, a kiedy mijiała otoczone klombem zdrowe drzewo, schyliła się i wzięła w garść kamyków. Były wielokanciaste, jasnoszare, a jeden bladuróżowy. Ten włożyła do torebki. Resztę kamieni schowała do kieszeni i poszła dalej. Kiedy je wybierała, widziała już z daleka szóstkę łysych, uformowaną w wojskowe dwójki. Szli i rozglądali się, szukając czegoś do naprawienia, bo oni także byli naprawiaczami. Kiedy mijali dziewczynę spacerującą z ciemnoskórym chłopakiem, jeden rzucił do niej „Ty kurwo”. Gdy szwadron łysych mijał Annę Zemełkę, ta odwróciła się za nimi i rzuciła garść kamieni, jakby rzucała urok. Kamienie odbiły się od czaszki jednego z naprawiaczy. Odwrócił się gwałtownie, ale zobaczył jedynie wysoką brunetkę, damę w czarnej wydekoltowanej sukni, na szpilkach. Ktoś taki nie rzuca kamieniami. Łysy rozglądał się badawczo jeszcze przez chwilę, aż jego koledzy ze szwadronu stracili cierpliwość i musiał maszerować, inaczej zostawiliby go samego na ulicy. Zemełka szła z zadowoloną miną, gdy niespodziewanie minęła ją stara siwa kobieta. Anna Zemełka pomyślała, że gdzieś

ją już spotkała i szybko przypomniała sobie staruszkę z parku, której zaplotła warkocz. I którą potem widziała w szkole. Teraz miała na sobie tę samą brązową spódnice, ale tym razem kremową bluzkę z jednym guziczkiem pod szyją. Siwa szła powoli, krok za krokiem. W pewnym momencie zachwiała się niebezpiecznie i z pewnością upadłaby na chodnik, gdyby Anna Zemełka w porę jej nie podtrzymała.

– Nic pani nie jest?

– Nogi mnie bolą – odrzekła siwa, pochylając się z trudem i masując chude, żylaste łydki. Miała na sobie białe skarpetki, podciągnięte prawie pod kolana. Dopiero teraz Zemełka zauważyła, jakie siwej oczy były łagodne i brązowe. Ciepłe i wcale nie mętne, jakich spodziewałaby się u starej kobiety.

– Może pani jakoś pomoże? – Zemełka była na siebie zła, że proponuje coś tak niemądrego. Szła przecież do fryzjera, była umówiona za dziesięć minut.

– Możesz mnie, dziecko, podprowadzić do przychodni. Mam lekarza.

Dawno już nikt nie nazywał Anny Zemełki dzieckiem, dlatego bez wahania zgodziła się towarzyszyć siwej kobiecie. Jednocześnie w myślach wyrzucała sobie własny tani sentymentalizm. Głupio się daje nabierać na siwe włosy, drżące ręce i chore nogi.

Przychodnia pełna była siwych ludzi. Zemełka aż jęknęła z rozpaczy, widząc tyle łamliwych trzciniek. Nie, nie. Nie jest dzieckiem, ani pensjonarką, ma umówionego fryzjera. Weszły z siwą do windy i sunęły na trzecie piętro. Stara nic nie mówiła przez całą drogę, a Zemełce to odpowiadało. To była zupełnie naturalna i niewymuszona cisza dwóch kobiet, które dobrze wiedzą, co do nich należy, zatem nie mają niczego szczególnego do omówienia. Zemełka wyjęła z torebki czerwoną szminek, poprawiła usta, przeglądając się w szybie pośrodku drzwi, która tworzyła krzywe zwierciadło. Grube szkło zwielokrotniało nienaturalnie wydłużoną twarz Zemełki. Mimo to zdołała pomalować usta. Dotknęła lewą dłońią prawej, obie były suche. Wyjęła z torebki mały krem do rąk, naniósł kapkę wielkości ziarna grochu na wierzch dłoni i zaczęła powoli wmasowywać krem w ręce, jedna gładziła

drugą. W windzie unosił się kokosowy zapach kremu. Dostała go od Karoli, która była przedsiębiorczą dziewczyną i miała dojścia w hurtowni kosmetyków ekologicznych. Zemełka nie powstrzymała się i powąchała własną dłoń, mrużąc oczy. Wyglądała jakby ją całowała. Winda zatrzymała się, siwa kobieta wyszła pierwsza. Na korytarzu na trzecim piętrze roіło się od siwych głów i lasek. Spuchnięte nogi owinięte bandażami elastycznymi, żyłaki i skręcone jak dziwny korzeń drzewa palce. Nerwowe albo puste spojrzenia, rzadko uśmiechnięte szaloną beztroską starców. Anna Zemełka miała na nogach czarne szpilki, siwa kobieta wzięła ją pod ramię z ufnością i szły tak aż do pustego miejsca na ławce. Siwa usiadła, starannie wygładziła spódnicę i zapadła w coś w rodzaju snu. Nauczona, że czekanie trwa wielki i nie warto marnować energii nawet na częste mruganie powiekami. Zemełka rozglądała się z umiarkowanym zaciekawieniem. Chyba już pójdzie, chociaż fryzjer i tak przepadł.

– Niech pani nie idzie – powiedziała siwa kobieta. Spojrzała na Annę Zemełkę ciepło.

– Nigdzie się nie wybieram – Zemełka zastanawiała się, czy stara w ogóle ją rozpoznaje.

Winda zachrzęściła, zjechała z dudnieniem na dół i po chwili wróciła. Ze środka wyszły dwie pielęgniarki, asekurujące kobietę idącą krok za krokiem o kulach. Jej twarz przecinał grymas jak szrama.

Podeszły do okienka rejestracji, takie okienko znajdowało się na każdym piętrze. Siedziała w nim niemłoda kobieta w białym fartuchu i o dziwo była życzliwa, podobnie jak dwie dziewczęce pielęgniarki. Starowinka o kulach długo coś z kobietą w okienku omawiała, aż pielęgniarki ją zostawiły, wezwane do innych ludzi, którzy nie mogli sami chodzić. Stara kobieta załatwiła wreszcie swoje sprawy, ale zamiast z trudem wziąć oparte o ścianę kule, przeszła obok nich z uśmiechem i dziarsko, nie kuśtykająca, nie zgarbiona i wcale nie taka znowu stara. Kilkoro pacjentów zauważyło to, szturchali się wzajemnie łokciami.

– Cudowne ozdrowienie – skomentowała Zemełka, odprowadzając oszustkę wzro-

kiem, aż ta zniknęła za rogiem. Siwa kobieta nie zwracała na nic uwagi, pogrążona w swoich myślach. Zemełka podniosła się, zabrała porzucone kule i ruszyła korytarem za oszustką. Dopiero wtedy siwa ocknęła się. Spojrzała na Zemełkę z niepokojem.

– Zaraz wrócę – uspokoiła ją Anna Zemełka i zniknęła za rogiem, tym samym, za którym przed chwilą przepadła oszustka.

Siedziała niedaleko. Usadowiła się wygodnie w poczekalni, z numerkiem jeden w dłoni, który wyłudziła w okienku jako najtragiczniejsza w całej przychodni ofiara kłopotów z krążeniem. Anna Zemełka podeszła do oszustki, usiadła obok.

Kobieta zmieszała się, kiedy dostała z powrotem swoje kule od pięknej kobiety, która wręczając jej zgubę, patrzyła intensywnym wzrokiem. Tak natarczywie, że niemiło. Oszustka wzdrygnęła się i spróbowała uśmiechnąć się z zakłopotaniem.

– Ojej, dziękuję. Z tej choroby o wszystkim ciągle zapominam.

– Powróżyć pani?

– Słucham?

– Powróżę.

– A idź w cholerę ze swoimi wróżbami! Naciągaczka jakaś. Nie mam pieniędzy, sio.

– Jak pani chce, ale lepiej, żeby pani nie wracała do domu przez most – rzuciła Zemełka

i wstała. Oszustka nie dała jej odejść, zaniepokojona zabobonnym niepokojem.

Chwyciła ją za rękę.

– A co będzie na moście?

– Potrąci panią samochód. Opel czerwony.

– Jezus Maria! Nie wygłupiaj się, kobieto!

– Jestem absolutnie poważna. Pracuję jako wróżka od dziesięciu lat i moje stawki są z pewnością nie na kieszeń rencistki. Ale żal mi się pani zrobiło, bo pani o kulach, taka schorowana, a jeszcze nie przeżyje dzisiejszego dnia.

– Jak nie przeżyję?!

– Niestety ten opel panią potrąci śmiertelnie.

– A jak nie pójde przez most? – oszustka drżała ze strachu.

– To niech pani od razu idzie do kardiologa.

– Dlaczego, na litość boską?

– Bo jeśli pani w ogóle stąd wyjdzie, dostanie pani zawału i umrze.

– Znowu umrę?!

– Niestety znowu.

– No to co ja mam zrobić, żeby nie umarła?!

– Nic.

Zemełka zaczęła się oddalać korytarzem, a oszustka histeryzowała.

– Ale niech pani nie idzie! Niech mi pani wyjaśni, co ja mam zrobić?!

– Pożegnać się z bliskimi, przeprosić za grzechy i oszustwa. Naprawić krzywdy. To bym zalecała – powiedziała Zemełka i wróciła do siwej kobiety, która tymczasem weszła już do gabinetu, zatem Zemełka uznała swoją misję za zakończoną i poszła poprosić fryzjerkę, żeby jej chociaż podcięła końcówki. Kiedy wróciła do baru, Karola praktykowała małe zemstki, czyli wmawiała klientom, którym źle patrzyło z oczu, że przelecieli ją kiedyś w toalecie i teraz jest z nimi w ciąży.

A że były to zapominalskie pijusy, łatwo we wszystko wierzyli i padał na nich błąd strach. Karola dobrze się spisywała.

Zemilski siedział za barem już od godziny i nie był dumny z akcji szczucia burmistrza psem. Nie dlatego, że akcja się nie udała, przeciwnie, był to niewątpliwy sukces, a mimo to Zemilski siedział i milczał. Po drugiej stronie baru Emre pił herbatę i nie śmiał pytać, co spowodowało nagłą zmianę nastroju Zemilskiego. Prawdę powiedziawszy, od kiedy Emre znał Zemilskiego, nie widział go w takim stanie.

Dopiero na widok Anny Zemełki poderwał się, wyszedł zza baru, chwycił Zemełkę za ramię i wyprowadził ją przed lokal, do krzywego stolika, stanął przy nim i jak zwykle zapalił papierosa. Anna Zemełka stała obok i cierpliwie czekała na to, co on jej powie. Zemilski milczał bardzo długo. Palił, patrzył w dal, czyli na drugą stronę ulicy i na majaczącą niewyraźnie rzekę. Złała się w jedno z jezdnią i trawnikiem, jednak, kiedy ustał ruch, słychać było jej cichy chłopot. Tym razem był delikatny

i przyjazny. Nic dziwnego, właśnie minął bezwietrzny, przyjemny dzień. Rzeka była zadowolona. Przejechał samochód, potem drugi, zaszczekał pies i znikąd pojawili się ludzie, szli sobie naprzeciw, zalali pustą przed chwilą chodnik. Nie wiadomo skąd biorą się te nagłe miejskie przestoje, a potem skąd bierze się ruch i tłum, prędko i oczywisty, jakby wcale tej przerwy i ciszy nie było. Zemilski kolejny raz usiłował ułożyć sobie to wszystko w głowie. Od kilku tygodni spotykał się z ukradkiem dziewczyną, która pewnego dnia wpadła do baru na kawę. Zemilski po raz pierwszy w życiu zakochał się bez pamięci, nagle, dosłownie w mgnieniu oka, a przynajmniej przeżywał coś gwałtownie wzniosłego i niewinnego, co nigdy wcześniej mu się nie przytrafiło. I to do tego stopnia niewinnego, że nie rozebrał jej, lecz zamiast tego zabierał codziennie na spacer, do kina i na kolację. Była bezgrzeszna, miała coś z mądrego dziecka.

Formalnie nie była specjalnie niewinna. Miała męża. Zaskoczył ją fakt, że niespodziewanie weszła także w posiadanie kochanka, czy raczej platonicznego wielbi-ciela. Nie planowała tego, nigdy wcześniej nie dopuściła się zdrady, ale w Zemilskim było coś, co pociągało ją wbrew wszelkiemu rozsądkowi. Był to jego bezgraniczny zachwyty. Powiedziała mu, że od męża nie odejdzie. Była katoliczką, naprawdę religijną, a męża szanowała. Odkryła, że można szanować dwóch mężczyzn na raz. Była rozdarta, załamana, roześmiana i niewinna. Naprawdę niewinna. Zemilski wiedział, że powinien zostawić ją w spokoju. Trzymać ją z daleka od Karoli i jej perwersyjnych blond loków, a jeszcze dalej od siebie. Jednak nie potrafił. A ona nie potrafiła okłamywać męża. Mimo że Zemilski ledwo ośmielał się ją całować, powiedziała mężowi, że dopuściła się zdrady, zakochała się w innym i żeby jej wybaczył, bo chce nadal być dobrą żoną. Wszystko to powiedziała temu facetowi. Zemilski pragnął, żeby ta dziewczyna była jedną jedyną i urodziła mu dzieci. Wyglądała subtelnie, mówiła cicho, mądrze, miała niehałaśliwe poczucie humoru. I był w niej ten rodzaj delikatnej łagodności, którego brakowało Zemetce, który ona może i kiedyś miała, ale nigdy go już nie odzyska, chociaż Zemilski przeczuwał, że



niczego tak bardzo nie pragnęła. A może, zastanawiał się, już coraz mniej rozumiejąc swoje myśli, może ta dziewczyna, w której niefortunnie i zdradziecko się zakochał, nie jest wcale taka anielska jak mu się wydaje? Może płata mu figle jego własna wyobraźnia, bo tak bardzo chciałby już raz w życiu mieć coś wyjątkowego i naprawdę swojego, na zawsze, coś dobrego i oswojonego?

Ale teraz, gdy stał tak z Zemełką, mieszało mu się, o kim właściwie rozmyśla. Twarz tej dziewczyny, tego anioła niewinnego, zastępowała powoli twarz Anny Zemełki, chociaż odganiał ją, a gdyby to głupio nie wyglądało, zamachałby ręką przed swoim nosem, żeby rozwiać ten dym, z którego Zemełka uparcie się wyłaniała. Dlaczego stała tu taka realna, podczas gdy on chciał uwierzyć w swoją nieskazitelną, wymarzoną miłość do niewinnej dziewczyny? Coraz mniej był zresztą pewien, czy ona faktycznie jest niewinna, czy może to zwyczajna kobieta, która wpadła w sidła Zemilskiego i nie potrafiła się z nich wydostać, bo była kompletnie bezsilna, słuchając jak mówi do niej o tym, że jest jego ideałem, widząc, jak nie może od niej oderwać oczu. Lecz może prawda była całkiem inna i to dziewczyna ostatecznie zakochała się w Zemilskim, takim jakim był, a on utknął na poziomie zjawy. On wciąż kochał swoje chłopięce marzenie o słodkiej dziewczynie. Nigdy go nie zrealizował, na jego podwórku mieszkwały same wygadane koleżanki ze strupami na kolanach, które razem z nim łążyły po drzewach i bez problemu wskakiwały na dach śmietnika.

Czy on naprawdę kochał tę swoją zjawę? Zemełka stała obok bezlitośnie. Na wyciągnięcie ręki, z krwi i kości, choć z innego świata, a on wiedział, że ona tu jest na chwilę, na stacji przesiadkowej i za moment zniknie mu z oczu. Nie wolno mu było obrócić teraz głowy na nią spojrzeć. A jednak zrobił to. Nie potrafił się powstrzymać. Kiedy patrzył na jej profil, zalewała go fala uczuć tak sprzecznych, jakby tracił rozum. Czułość, ale zaraz ożeniona z niechęcią, poczucie, że ona go tłamsi, dusi, jest tu ciągle, a przyszła nie wiadomo skąd i po co. Ale zaraz tęsknota na myśl, że miałoby jej nie być. A gdyby już nigdy nie przyszła? Nie wiedział nawet, gdzie mieszka, nie mógłby jej odnaleźć i poprosić o wybaczenie. A kiedy już wróci

do swojego prawdziwego życia? Do męża, tego albo nowego? I nikomu się nie przyzna, że robiła te wszystkie głupie rzeczy z bandą idiotów z podrzędnego baru? Zacznie omijać tę ulicę, ba, całą dzielnicę, jakby nigdy nie istniały, a jeśli będzie zmuszona przejechać tędy samochodem, zasunie szybę i odwróci głowę. No więc po cholere tu przyłazi, ta dziwna, silna i słaba kobieta? Po co go dręczy? Żeby przez nią nie wiedział już, czy zakochał się w niewinnej, kruchej mężatce, młodziutkiej, świeżej jak wiśnia, delikatnej i płochliwej, tej, która właśnie rozmywała się we mgle i nie umiał już przypomnieć sobie jak wygląda i jak brzmi jej głos?

Zemilski nie potrafił mówić. Ale gdyby z baru pozwolono mu zabrać tylko trzy przedmioty, byłyby to: zardzewiała kłódka, na którą zamykał bar i przynoszące szczęście buty do kosza, które miały dwanaście lat, dziury i którym pod koniec ciągle musiał kleić podeszwy, aż całkiem się rozleciały, zachowując jednak swoją moc przynoszenia szczęścia, dlatego stały na szafce koło wejścia do łazienki. Trzecim przedmiotem byłaby maleńka buteleczka po wiśniówce, którą wypili z Zemełką drugiego dnia znajomości, kiedy po raz pierwszy wspólnie napluli komuś do kieliszka. Stali wtedy, jak teraz, na chodniku, ramię w ramię, a dla każdego z nich starczyło po małym łyżku. Zemilski nigdy nie zapomni, jak podał małpkę Zemełce, ona upiła łyk i oddała mu buteleczkę, wciąż patrząc przed siebie. Już wtedy nie musieli na siebie patrzeć, żeby być pewnymi siebie nawzajem. Tamtego wieczoru Zemilski zrozumiał, że stało się coś ważnego. A on właśnie takich ważnych chwil pragnął w życiu. Opadł na krzesło, które zachybotало, i zapalił kolejnego papierosa. Zemełka wszystko zepsuła. Nie miał po co się oszukiwać, uwiódł tę dziewczynę, bo pasowała mu do marzeń. Nie kochał jej, za to ona, katoliczka i mężatka, pokochała jego. Miłość zawsze wiąże się ze strachem. Z uczuciem wiecznego niepokoju o tego, kogo się kocha. Martwienie się, troska, obawa, czy wszystko jest w porządku. Dlatego miłość nigdy nie jest tylko lekka. I z tego właśnie powodu tak wielu nie potrafi i nie chce jej znieść. Może dlatego ta dziewczyna zostawiła Zemilskiego dla swojego męża, o którego nigdy się nie bała.

– Źle zrobiłem. Fatalnie i do bani. Teraz mnie musisz ukarać. Nie żartuję – powiedział Zemilski.

– Nie ma mowy. Nie zrobił pan przecież niczego złego – Zemełka była spokojna. Dlaczego ona była spokojna?

– Większość nie chce robić niczego złego, a robi. Musisz mnie ukarać.

– Nie chcę. Zresztą trzeba tylko zaczekać.

– Na co?

– Na pewno ktoś inny pana ukarze, Zemilski. I wtedy do baru weszła żona Emre, zapłakana i bezsilna, co zupełnie do niej nie pasowało. Wydukała, że Emre zniknął.

## ROZDZIAŁ IX

To był kolejny lipcowy wieczór. Na tyle wczesny, że wciąż było jasno, choć z nieba zniknęło już słońce. Wiał przyjemny wiatr, nareszcie można było odetchnąć po upale i usiąść na ziemi. Anna Zemełka zdjęła buty i weszła na trawę, która była ciepła. Położyła się z błogim uśmiechem i wyglądała jak dziewczynka. To rozczuliło Zemilskiego, który wciąż stał na szutrowej drodze.

– No chodź – niespodziewanie zwróciła się do niego po imieniu.

Ale Zemilski wciąż stał w miejscu. Patrzył na ogromną łąkę, pokrytą skoszoną ciepłą trawą i nie ruszał się na krok. Anna Zemełka opierała się przez chwilę na łokciach, wyczekująco, ale szybko jej się to znudziło. Zaczęła gapić się w niebo. A Zemilski wciąż stał i dziękował w duchu Zemełce, że nie pyta go, dlaczego nie kładzie się obok, bo musiałyby jej opowiedzieć o swoim strachu przed trawą. Bał się jej, od kiedy był małym chłopcem i to do tego stopnia, że matka zostawiała go samego na kocu na podwórku przed blokiem i szła gotować obiad, bo wiedziała, że Zemilski za nic w świecie nie ruszy się z koca na krok.

Otaczała go przerażająca trawa.

– Dlaczego ty to wszystko właściwie robisz?

– Bo chcę być znowu niewinną dziewczyną, która wierzy w świat. Teraz czuję się jak

kobieta, która dała się namówić na romans, a potem została porzucona, bo warta czegoś byłaby tylko wtedy, gdyby nie dała się namówić. Chcę cofnąć czas i nie dać się namówić. Rozumie pan, Zemilski?

– Lepiej niż ci się wydaje, Zemełka.

Zemilski opanował lęk i wszedł na trawę. Nic złego się nie stało. Usiadł obok Zemełki, potem ostrożnie położył się na plecach. Nadal nic się nie wydarzyło, poza tym, że Zemełka pogłaskała go po głowie jak dzieciaka. I znowu zaczęła się gapić w niebo. Trawa była sucha, wrzynała się Zemilskiemu w tyłek, ale nic nie powiedział. Anna Zemełka uświadomiła sobie, że od bardzo dawna nie wpatrywała się w niebo. Z dziecięcą niecierpliwością wyczekiwała pierwszej gwiazdy, zlustrowała nieboskłon i doszła do wniosku, że przy ani jednej chmurze noc będzie gwieździsta i piękna. Nic nie mówili i to było najlepsze. Czuli się przy sobie bezpieczni. Odczuwali dziwny rodzaj przywiązania, jaki czasem czują do siebie obcy ludzie, którzy odnaleźli się w kocu maku i nie wiedzą, co z tym począć, ale nie potrafią i nie chcą się od siebie oddalić. Zemełka i Zemilski mieli poczucie, że dopóki są obok siebie, nic złego im się nie stanie.

Mijały kwadransy i w końcu nadeszła upragniona godzina, kiedy na niebie pojawiły się gwiazdy. Zemełka była oczarowana. Odwróciła głowę na bok, żeby sprawdzić, czy równie oczarowany jest Zemilski, ale on spał. Miał zamknięte oczy i ufną twarz chłopca. Na brodzie i pod nosem krople potu jak świetliki. Patrzyła na chłopaka długo i łagodnie. Potem znowu spojrzała w niebo i leżała tak, dopóki oczy same się jej nie zamknęły. Zemilski obudził się i wpatrywał się w nią. Nie wiedział, co zrobić. Chciał jej dotknąć, czuł rozpaczliwy przymus, ledwo powstrzymywał się, żeby jej nie podwinąć sukienki i nie zdjąć majtek. Patrzył na jej twarz, jakby po dziecinnemu liczył, że ona przez to patrzeć otworzy oczy i sama zdejmie sobie majtki. Ale nic takiego się nie stało. Zemełka usnęła naprawdę. Zemilskiego pewnie słabo pocieszyłoby, że usnęła łatwo, bo przy nikim nie czuła się tak swobodnie jak przy nim. Nawet na trawie w podejrzanym okolicy.

Zostawił ją w spokoju i usnął, zły na siebie. Trzeba ją było przelecieć na samym

początku, a nie teraz, kiedy tak wiele ich już łączy.

– Piękna ta okolica – zachwyciła się Anna Zemełka po przebudzeniu.

– Tylko ludzie francowaci.

– Może nie? – Zemełka miała jeszcze nadzieję, że wszystko to jest wielkim zabawnym nieporozumieniem.

Zemilski przyglądał się Annie Zemełce, która przypatrywała się gwiazdom. Była ciepła i spokojna, i silna jakąś inną siłą, niedostępną mężczyznom, ale taką, która nie jest przeciwko nim skierowana. Jednak może im pomóc. Może pomóc każdemu, kto będzie to umiał zobaczyć i wziąć. Po raz drugi obudzili się dopiero rano. Z nocnego zwiadu nic więc nie wyszło. Byli zaniepokojeni, przez tyle godzin z Emre mogło stać się coś naprawdę niedobrego. Zerwali się, otrzepali z trawy i zaraz ruszyli w stronę zabudowań. Była to ni to wieś, ni to podmiejska dzielnica. Wszystkie domy były ruderami, poza jednym, na samym początku uliczki. Stała tam okazała nowoczesna willa, w której mieszkała scenarzystka z Hollywood. Tak naprawdę była to Polka, która przez wiele lat mieszkała w Stanach Zjednoczonych i pisała scenariusze do ostatniej klasy seriali. Pozwoliło jej to jednak zbić niemały kapitał, popaść w alkoholizm, uzależnić się od marihuany i swoich czterech buldogów. Były to jedyne osoby, z którymi scenarzystka w ogóle rozmawiała. Wróciła do kraju na emeryturę, a dom kupiła pod wpływem używek, zatem nieświadoma, że za sąsiadów ma najgorszy motłoch w mieście. Zresztą wcale nie wychodziła z domu, więc mało ją to obchodziło. Zakupy robiła przez Internet, restauracje dowoziły jej obiady na wynos. Scenarzystka całymi dniami oddawała się magii. To znaczy stawiała sobie tarota i wróżyła z aplikacji oraz programów numerologicznych. Z każdej wróżby zawsze wynikało, że w najbliższym czasie przytrafi jej się coś niedobrego. I jeśli w ogóle z kimkolwiek rozmawiała, to właśnie o tym. W końcu jeden z sąsiadów, z tych, którzy mieszkali w trzech domach skupionych wokół podwórka, tych na końcu ulicy, ludzi wydawać by się mogło przepitych, bezwzględnych i nieludzkich, właśnie jeden z tych sąsiadów nie mógł dłużej patrzeć na męczarnię scenarzystki i postanowił jej pomóc. Kiedy parter jej domu

płonął dojrzałym ogniem, zabrał kanister, w którym nie było już kropli benzyny i wrócił do siebie na obiad. Straż pożarna przyjechała szybko i z łatwością ugasiła pożar. Zajęła się tylko część parteru, którą scenarzystka zaraz kazała odremontować.

Chociaż śledztwo wykazało podpalenie, sprawcy nigdy nie zatrzymano. Scenarzystka żyła z poczuciem ulgi, że w jej życiu już wydarzyło się coś złego. Od tej pory miała święty spokój. Aplikacja i karty wskazywały na możliwy romans lub głęboką przyjaźń. Scenarzystka zaczęła się ładnie ubierać, malować na czerwono usta i wychodzić na zakupy do lokalnego sklepu spożywczego, gdzie często mijają swojego wybawiciela, który jednak na zawsze pozostał anonimowy. Anna Zemełka i Zemilski minęli dom scenarzystki. Wydawał się pusty. Rolety zewnętrzne były zaciągnięte. Kolejnych kilka domów także nie wzbudziło ich podejrzeń, zatrzymali się dopiero po dobrych kilkudziesięciu metrach przy parterowej chałupie z nieotynkowanej cegły. Dom niby był wymarły, ale w środku poruszyła się firanka, zza której ktoś ich obserwował. Zauważyli to jednocześnie i spojrzeli na siebie. Podeszli bliżej. Podwórko było zaniedbane i zagracone. Oprócz dwóch starych aut wałała się na nim masa niewiadomego przeznaczenia rur, prętów, worków, pudeł, po których chodziły koty. Wszystko razem sprawiało wrażenie brudne i śmierdzące. Niemal na środku tej kupy śmieci leżała puchowa kurtka w ostrym niebieskim kolorze. Dokładnie taką nosił Emre, któremu nawet w upalnym lipcu było wieczorami zimno.

– Kurtka Emre.

Furtka była otwarta, wystarczyło ją pchnąć. Na dźwięk skrzypiących zawiasów nie wybiegł żaden pies, a koty pouciekały. Kiedy weszli na podwórko, wciąż było cicho, żywego ducha. To ich ośmieliło. Anna Zemełka weszła po trzech rozlatujących się schodkach i nacisnęła klamkę. Drzwi puściły bez problemu, dom w środku śmierdział wilgocią. Weszła, a za nią Zemilski. Był nieco zaskoczony, bo Zemełka weszła do domu z taką pewnością, jak wyszkolony antyterrorysta. Wszedł więc bez skargi za nią. Zemełka zaraz wkroczyła do pierwszego z brzegu pokoju. W środku znajdo-

wali się mężczyzna i kobieta, oboje koło czterdziestki, raczej chudzi i smutni, ale poza tym zupełnie nijacy. Zemełka od razu dopadła mężczyznę, który siedział na fotelu z wysokim oparciem. Chwyliła go mocno ręką za gardło i przycisnęła jego głowę do oparcia. Był tak zaskoczony, że nic nie powiedział.

O dziwo, kobieta też nic nie powiedziała, wydawała tylko przerażone jęki. Jak szczeniak. W oczach miała strach. Mężczyzna patrzył na Zemełkę kompletnie bezbronny i zaskoczony.

– To nie oni – powiedział nagle Zemilski z przekonaniem.

– Dlaczego?

Zemilski wskazał ruchem głowy telewizor. Był włączony, leciał serial, a w dolnym rogu sympatyczna blondynka tłumaczyła dialogi na język migowy.

– Głuchoniemi też mogą porywać – logicznie zauważyła Zemełka, ale puściła gardło mężczyzny. Ten nie zareagował, nadal siedział bez ruchu, jakby pętał go jakiś niewidoczny sznur. Zemilski wyszedł z chałupy i po chwili wrócił, w ręce trzymał coś, co miało być kurtką Emre, a było niebieskim brezentowym workiem.

Kobieta zaczęła bezdźwięcznie szlochać, nawet jej mąż był bliski płaczu. Otartł oczy. Zemilski patrzył bezradnie jak bernardyn, który niechcący kogoś ugryzł i nie wie, co teraz ze sobą począć i gdzie podziąć obwisły wzrok. Ku jego zaskoczeniu, Zemełka nie czuła wielkich wyrzutów sumienia.

– Chodźmy stąd – rzuciła tylko.

Kiedy wyszli, Zemilski zapytał, jak to możliwe, że nie wykazała żadnych uczuć.

Powiedziała mu wtedy, że jak się robi coś dobrego, to zwykle trzeba się upaprać i że wszyscy jesteśmy upaprani. Użyła tego słowa i chyba faktycznie nie miała żadnych ciepłych uczuć wobec tej przestraszonej pary.

– To nic takiego. Jutro o tym zapomną – rzuciła tylko.

Nie ma obiektywnej, jedynej słusznej sprawiedliwości. Są tylko ludzie, którzy godzą się na swoje byle jakie istnienie i byle jak zgadzają się na wszystko, ale są też tacy, którzy się nie zgadzają. Z uporem maniaka, chwytając się czasem czego popadnie, urządzają swoje życie, swój świat, swoje małe poletko na sposób, jaki

uznają za ładny i przyzwoity. Czasem za piękny. Dążą do tego, by odmalować wokół siebie rzeczywistość, którą uznają za wartą przeżycia. I nie nazywa się ich ani zbawcami, ani chuliganami.

A kiedy doszli na koniec dziurawej uliczki, do trzech najbrzydszych, najbardziej obscurnych domów i zabłoconego podwórka, wydarzyło się coś, czego zupełnie się nie spodziewali. Zaatakowała ich banda dzieci. Było to coś tak zaskakującego i niemożliwego, że początkowo zupełnie się nie bronili, nie wierząc, że dzieje się to naprawdę. Stanęli, osłupiali i patrzyli, jak dzieci podchodzą do nich i zaczynają ich popychać, bić, szarpać, rozrywać im ubranie. Był to atak furii, tym bardziej nieokiełznany i wpędzający w bezradność, że agresorami były dzieci, ludzie niewysokiego wzrostu, o niewinnych twarzach, cieniutkich włosach i mięciutkiej skórze, która nie zaznała jeszcze wieloletniego zmęczenia. Dzieci było koło dziesięcioro. Ubrane w kolorowe ciuchy z dyskontu i supermarketu. Pomarańczowy, ultramaryna, soczysta czerwień, zielony. Sportowe buty, kolorowe, ale przybrudzone od pyłu. Większość z nich miała płowe włosy i były do siebie podobne. Ładne. Rozkoszne. W wieku od kilku lat do kilkunastu, ale wszystkie były wciąż dziećmi. Chudymi i niewinnymi. Wśród Inianych głów Zemełka zobaczyła Marka, chłopca, który w szkole wyśmiewał się z syna Emre. Zrozumiała, że trafili pod adres, którego szukali.

Dzieci rzuciły się na nich znienacka, jak szarańcza, z kijami w rękach i dzikim krzykiem, bez opamiętania. Wyglądało to tak, jakby okładały drągami wymaginyowanych przeciwników, bo akurat wymyśliły sobie zabawę w pogromców smoków. Robiły to z przyjemnością i filuternie. Nawet gdy były zacięte i miały groźne miny, wypadały najwyżej zabawnie. Kije były za długie, więc dzieci nie potrafiły zwinnie nimi machać. Uderzały się nawzajem po goleniach albo ryły drągiem w piach. Mimo tej nieporadności i pozorów zabawy, były okrutne i skuteczne. Jak kocię, które nie rozumie, że robi komuś krzywdę, wbijając w żywe mięso ostre pazurki, tak dzieci te wyglądały jakby nie rozumiały, że mogą zabić. A mogły. Ich przewagą było zaskoczenie, całkowity brak hamulców i kije, które były ciężkie. Jeden z nich od razu uderzył Annę Zemełkę w policzek, wybijając jej ząb i raniąc do krwi. Chłopiec,



który uderzył, był równie zaskoczony efektem, co Zemełka. Wypluła ząb razem z krwią. Spojrzała z niedowierzaniem na zagrzebany w piachu trzonowiec. Od tej chwili, z minuty na minutę jej policzek stawał się coraz bardziej spuchnięty, ale krew z rany na policzku stawała się zakrzepła, przez co połowa jej twarzy zaczęła przypominać skorupę. Zemełka i Zemilski bronili się bez przekonania. To miasto i ten kraj, ci ludzie, budzili w nich niechęć, budzili w nich obrzydzenie i jednocześnie czułość. Umieeli zachwycić się kimś, kto był cieniem, dostrzec w krzakach porzucony malowniczo but i szukać przyczyny, dociekali, dlaczego ktoś wyrządził komuś krzywdę, po co i czemu? Nie potrafili już oceniać pochopnie. Patrzyli sobie nawzajem na ręce i uważnie siebie słuchali. Tym bardziej jednak nie cierpieli, że ten kraj tonął w pogardliwych, pospiesznych ocenach. Jak to możliwe, że ludzie nie słyszeli szumu szlamu, który produkowali? Czemu nie dławili się ziemniakami, które zjadali, jednocześnie wypluwając z siebie sądy o bliskich, przyjaciółach, rodzinach, zwierzętach, aktorach, przemykających pod ich oknami przechodniach? Niechęć do tych ludzi, mieszkańców tego kraju, była niemożliwa do odparcia. Ale pożeni ją z czułością do wyłuskiwanych starannie perełek, niewidzianych dla wielu drobinek, cenniejszych niż złoty kruszec. Byli dobrzy ludzie i byli ludzie źli, którzy zachowywali się przyzwoicie. Było całe morze piękna ukrytego w świńskiej oborze. Czy dlatego to wszystko robili? Dlatego bawili się w tę absurdalną, niemożliwą grę? By zebrać koszt dobrego kruszcu?

Kiedy dzieci okładały Zemilskiego kijami, początkowo poddawał się temu, bo wzięły go z zaskoczenia. Nie wiedział, czy to rodzaj zabawy i co robi się z dziecięcym przeciwnikiem. Powaliły go na ziemię. Mógł z łatwością wstać, wyrwać któremuś kij i tłuc na oślep, był wysoki i silny. Ale w pewnym momencie przyszło mu do głowy, że to jest właśnie jego kara, o której wspominała Zemełka i zaczął się w tej karze pławić. Narcystycznie przyjmował ciosy, niemal wystawiał się i wskazywał miejsca, gdzie zaboląłoby go najbardziej. Był to wyraz wielkiej pychy i dobrze, że Anna Zemełka z coraz większym trudem odganiała się od wściekłych małych ludzi, przez co Zemilski musiał przestać poddawać się pokucie i zejść na ziemię, by ruszyć

Zemełce z pomocą. Zemełka nie była bezbronna. Długo nie broniła się, bo była bezradna wobec faktu, że okładają ją dzieci. Nie potrafiła z nimi walczyć. Ale w końcu złapała jedną dziewczynę, prawie nastolatkę, która szarpała ją za włosy, złapała ją mocno za chudy przegub ręki, którą jej wykręciła. Dziewczynka zasyzczała z bólu, a widząc, że Zemełka nie puszcza uścisku, ale powala ją na ziemię, zaczęła płakać jak dziecko, którym przecież wciąż była. Zemełka patrzyła na nią wzrokiem rozgniewanej matki i kiedy uznała karę za wystarczającą, puściła dziewczynę. Ta nie wstała od razu z ziemi, patrzyła Zemełce w oczy z czymś w rodzaju szacunku. Ta dziewczynka wiedziała, że robi źle, Zemełka też wiedziała, że źle zrobiła, powalając ją na ziemię. Obie wiedziały i to było bardzo dużo. Porozumienie trwało ułamek sekundy, bo zaraz na plecy Anny Zemełki wskoczył płowowłosy Marek, którego zrzucił jednym uderzeniem Zemilski.

Szybko zyskali przewagę. Oboje czuli ulgę, że małe istoty wciąż pozostawały dziećmi. Niektóre płakały, inne pluły na nich z bezsilnej złości, jeszcze inne patrzyły wystraszone, dwóch chłopaków przeklinało bez przekonania. Nie mogliby naprawdę bić się z dziećmi, ale dzieci o tym nie wiedziały i dały się pokonać kilkoma ciosami oraz ojcowskim nakazem nieruszania się. Zemełka i Zemilski zademonstrowali, że nie cofną się przed niczym, mieli przerażająco stanowcze miny i ten pokaz siły wystarczył. Całe szczęście, wystarczył. Ale wtedy przyszli rodzice. Kobiety i mężczyźni. Pojawili się zniecka i byli dorosłymi, bardziej bezwzględnyymi wersjami swoich dzieci. Powalili Zemełkę i Zemilskiego na piach, na brzuchy i twarze, związali im z tyłu ręce linkami samochodowymi, wbijając się im kolanami w plecy. Szarpnięciem nakazali im wstać i zawlekli ich, oszołomionych, do komórki przy domu. Komórka była częściowo murowana, a częściowo drewniana. Przez deski widać było kawałek podwórka i twarze dzieci, które stały tuż za drewnianą ścianą i przypatrywały się im, przystawiając oczy do dziur w deskach. To wciąż były dzieci, zbyt ciekawskie, za mało ostrożne. Gdyby Zemilskiego nic nie powstrzymało, z łatwością mógłby im teraz te oczy wydłubać. Ale to wciąż były dzieci. Zemełka oddychała ciężko, gramoliła się po ziemi, na którą ktoś rzucił ją jak worek. Zemilski

wstał wcześniej i rozglądał się przytomnie. Szybciej doszedł do siebie. Nie mógł podnieść Zemełki, miał związane ręce, zresztą chciała jeszcze poleżeć. Nigdy przedtem nie bolało jej tyle miejsc na raz. Nikt wcześniej nie uderzył jej w szczękę. Zdała sobie sprawę, że do tej pory miała szczęście. Jedyne w filmach widziała sceny walk i zwykle mężczyźni ci, nawet powaleni na ziemię, szybko wstawali, otrzepywali się i z tą samą energią co przedtem rzucali na przeciwnika. Albo po prostu umierali. Nie ruszali się, bo byli zabici. Nawet jeśli leżeli i ciężko oddychali, oglądając to miała wrażenie, że nic im nie jest. Patrzyła na sztuczną krew na ich skroni. To trzeba po prostu przeżyć. Nikt, kto nie został pobity, nie wie, jaki to jest ból i bezradność. I wściekłość na tę bezradność. Straciła ząb. Zastanawiała się, w tej chwili właśnie zastanawiała się, do którego dentysty pójdzie, i ile będzie kosztował implant. Była wściekła na dziecko, które wybiło jej ząb. Zemełka wiedziała, że jest ładna i że uroda jest jej orężem. Ktoś śmiał zrobić zamach na jej urodę. Bolał ją też łokieć, łała się z niego krew, rana była zabrudzona piachem, piekła. Bolały też kości, nie była pewna, czy ręka nie jest złamana. Ktoś kopnął ją w brzuch, kiedy już leżała. To bolało najbardziej. Przypomniała sobie oprawcę Karoli, tę noc, gdy Pająk go kopał, a oni patrzyli. Tego człowieka musiało potwornie boleć.

Ale w pewnym momencie obojętniejesz. To jest dobre. Ciągną cię po ziemi, a tobie jest wszystko jedno i nawet ból, który wtedy czujesz już wszędzie, przestaje być intensywny. Może dlatego, że jest zbyt obeszwałniający, żeby go dobrze odczuwać. Wagarujesz więc z własnego ciała gdzieś obok i zapadasz w letarg. Ten chłopak, który wtedy upokorzył Karolę, pewnie w coś takiego zapadł, kiedy Pająk go bił. Zemilski kopał ścianę z desek. Był wściekły jak koń. Jak zamknięty w klatce byk. Miał ranę na głowie, we włosach skrzep krwi, który wyglądał jak wykonany przez specjalistkę od charakteryzacji filmowej i przyklejony klejem. Zemełka знаła taką specjalistkę. Jej siostra nią była. Siostra, którą Zemełka zostawiła chorą. Ile to już lat temu? Sporo. Uciekła na zawsze. Nie umiała się powstrzymać. Dwa razy nadchodził ten moment, kiedy mówiła: dość. Tak było z mężem. Nigdy jej nie uderzył, to prawda, ale też nigdy jej nie pogłaskał. A z siostrą zawiniła. Był to jej największy

dotychczasowy grzech. Chorzy ludzie bywają nieznośni. Nie mają niczego wspólnego z umierającymi na suchoty romantykami. Są roszczeniowi, brzydcy, ciężcy i zgorzkniali. Cały czas czegoś chcą albo się obrażają i nie chcą niczego. Początkowo są wystraszeni chorobą i potulni, często załamani. Bliscy są przerażeni, ale mobilizują wszelkie siły, by pomóc. Zemełka pamiętała, że miała moc słońca, była niezniszczalnym taranem, skutecznym i opiekuńczym. Potem chwalili ją, że jest metalowa, a ona nie znosiła tej swojej niezłomności. Nienawidziła wykwitłej w niej jak chwast szlachetności i coraz mniej była pewna, czy jest tak niezłomna, bo kocha swoją siostrę, czy dlatego, że chce być idealna. Zachwyty nad jej siłą i wspaniałomyślnością były jak kamory rzucane w jej stronę. Czuła się kłamcą, lalunią robiącą karierę na nieszczęściu siostry. Naprawdę chciała jej pomóc i naprawdę ją kochała, ale podziw dla czegoś tak oczywistego jak opieka nad chorą siostrą wyprowadzał ją z równowagi, stawiał w pozycji karierowiczki. I wtedy siostra zaczęła być krnąbrna, bo już przyzwyczała się do choroby i przestała uważać, że umrze. Zaczęła się czuć jak ofiara, nie znosiła Zemełki, nie rozumiała, dlaczego to nie Zemełka zachorowała. Miały przecież tę samą krew. Nie życzyła Zemełce źle, ale nie rozumiała, dlaczego to spotyka właśnie ją. Zemełka była żywym dowodem na kosmiczną niesprawiedliwość i powinna zadość czynić siostrze.

Czasem myślała, że zrobiła to specjalnie. Uciekła od chorej siostry tak, jak niektórzy ludzie sami tną sobie żyłkę policzek i mają potem bliznę. To był czas, kiedy jej życie i ona sama stali się nie do zniesienia. Była piękną, wykształconą, utalentowaną żoną wybitnego męża. Człowieka na stanowisku, przystojnego, grającego w tenisa, biegającego maratony, czytającego trudną literaturę i mogącego pochwalić się ukończeniem studiów. Postanowili nie mieć dzieci, ale wspierali rodzeństwo z domu dziecka, które spędzało z nimi weekendy i wakacje. Kochali te dzieci z wzajemnością. Skończyli specjalny kurs, dostali pozwolenie i byli szlachetni. Mieli dwa psy, dwa koty, dwa samochody. Było to wszystko nie do zniesienia i było w tym życiu coś nieprawdziwego. Ludzie mają skazy, ludzie mają blizny i czasem im się nie chce. A czasem robią rzeczy, których

się wstydzą. I to są ich skarby, kotwice, które nie pozwalają im wpaść w pychę. Zemełka nie mogła znieść tego, że była figurą woskową. Zostawiła siostrę samą. Z tego co wiedziała, siostra wyzdrowiała i głośno mówiła o swojej nienawiści do Zemełki. Zaraz potem Zemełka zostawiła męża, który od dawna jej nie kochał, a już z pewnością ona nie kochała jego, bo nie umiała kochać kogoś, kto nie był dla niej czuły. I tak Zemełka zaczęła być człowiekiem. Dzieci wciąż się na nich gapily przez deski. Anna Zemełka pomyślała, że mają przecież w sobie dobro, wszystkie dzieci podobno mają, więc chociaż przyniosą im coś do picia. Ale te dzieci były nieodrodnymi potomkami swych rodziców, a przy kompletnym braku swojej własnej przeszłości i wizji świata, były najlepszymi żołnierzami w sprawie.

– Wal się, cipo – powiedział mały Marek, który doskonale ich rozpoznawał. Z wyglądu był trochę podobny do Zemilskiego. Tak, Zemilski mógł tak kiedyś wyglądać. Potem dorośli przywlekli półprzutomnego Emre. Zachręścili drzwi komórki i pobite ciało Turka zostało rzucone na środek podłogi. Drzwi zamknęły się bezdusznie. Emre gramolił się jak glista. Z nieporadną pomocą Zemilskiego usiadł i oparł się o ścianę. Przez szczelinę jedno z dzieci dźgało go patykiem. Na pytanie Zemełki odpowiedział cicho, że nic mu nie jest. Ledwo się jednak ruszał i płytko oddychał, bolały go płuca, palce, a nawet włosy. Był solidnie poturbowany. Teraz już Zemełka umiała czuć jego ból.

Dzieci pochwały się szybko, że to one pobiły Emre. Dorośli tylko go trzymali i zagrzewali ich do boju. Dzieci były dumne, widziały przecież zachwyty na twarzach dorosłych. Kiedy Marek powiedział wzgardliwie, że Emre skuczał jak brudna świnia, Zemilski kopnął z furią w drewnianą ścianę. Turek spał, zwinięty w kłębek. Czasem jęczał przez sen, chyba wciąż go bolało. Jego twarz to był strup zaschniętej krwi, lewe oko miało całkiem przekrwione biało, błyskał nim, a pod okiem tkwił czerwony ślad, jak tajemny znak.

Stara siwa kobieta patrzyła na swoją córkę i nie mogła się pozbyć obrzydzenia. Nie chciała, mimo wszystko, patrzeć w ten sposób na własne dziecko, ale nie potrafiła inaczej. Jej pięćdziesięcioletnia córka zawsze chodziła po domu w biustonoszu i halce. Szaroburych, niedopranych, wygniecionych. Zawsze, gdy tylko przekraczała próg, od razu zdejmowała dzinsy i bluzę, i wkładała halkę. Była to halka starej

siwej kobiety, którą ta nosiła dawno temu pod sukienkami. Halka była wtedy biała i pachniała mydłem. Była też wyprasowana przez ściereczkę, żeby żelazko nie stopiło sztucznego materiału. Pewnego dnia córka wybierała się na ślub koleżanki, a sukienka była prześwitująca i źle się układała. Wtedy stara kobieta dała córce halkę. Sukienka układała się dobrze i córka była zadowolona. Trudno jednak nosić halkę do dzinsów, dlatego uznała ją za swoje domowe ubranie. Dla starej siwej kobiety było to tak, jakby jej córka chodziła po domu naga. I brudna. Bo z czasem halka wyciągnęła się i popruła, córka nie dbała o nią tak, jak mogłaby. Stara siwa kobieta nie potrafiła przestać myśleć o ubraniach. A może nie chciała przestać. Wiedziała, że na podwórku dzieje się coś koszmarnego, na co nigdy nie powinna była pozwolić. I na co wcześniej nigdy by nie pozwoliła. Teraz jednak była stara. Czy to ją usprawiedliwiało? Nie, ale mogło koić wyrzuty sumienia. Była stara, uzależniona od tych ludzi, bez swojego miejsca na ziemi. Czy to ją usprawiedliwiało? – Ubierz się – powiedziała do córki, zaskoczona swoją stanowczością.

Kobieta spojrzała na nią zdziwiona. Stała przy oknie i obserwowała zza firanki rozwój spraw. Nie spuszczała oka z syna. I oto jej matka się przebudziła. Pamiętała ją, jak była jeszcze młoda. Potrafiła być ostra, lała ją czasami pasem, kiedy widziała, że pali papierosy. Miała ten sam wzrok, kiedy córka przyprowadziła drugiego męża i powiedziała, że jest w ciąży. Czterdzieści dwa lata, żyła z zasiłku, a wcześniej ledwo wygramoliła się z pijaństwa. No i co? No i co, że piła? A co miała robić? Ojciec je zostawił, matka ledwo zipała, harując w szkolnej stołówce. Miała być jak ona? Za chuja, za chuja pana nie chciała być taka jak jej matka. Córka spojrzała na starą siwą kobietę, na jej matkę, i po raz pierwszy od lat zobaczyła, że matka nie żartuje. Nic jej nie mogła zrobić, może tylko przestać dawać emeryturę. Ale w córce obudził się strach. Pamiętała pas, pamiętała jak za karę była zamykana w pokoju, jak miała sprzątać, uczyć się i nie palić, ani nie dawać dupy komu popadnie.

Matka nigdy nie powiedziała „dawać dupy”, mówiła, że ma się szanować. Córka ociągała się, ale w końcu, nic nie mówiąc, zdjęła halkę, ubrała dzinsy i sweter. Zadowolona? Po długich godzinach nieznośnej ciszy, coś zaczęło się dziać. Szczęknięły drzwi komórki. Do ciemnego jak smoła pomieszczenia wpadło nareszcie dzienne światło. Ile czasu tam spędzili? W drzwiach stał mężczyzna. W rękę trzy-

mał hipsterską płócienną torbę z logo fundacji propagującej wegańską żywność. Skąd taką mieli? Pewnie ekolodzy rozdawali w mieście za darmo, komu popadło. Mężczyzna wyjął z torby kiełbasę wiejską, okrągły chleb pszenny i karton soku pomarańczowego, który nie miał niczego wspólnego z ekologią. Podał im to wszystko i rozciął pęta, na ich rękach. Najpierw wypili sok, byli spragnieni. Najbardziej Emre, którego Zemełka poła jak malca, bo miał mało siły. Kiedy wypili cały karton, zaczęli pogryzać kiełbasę. Zemełka z pewną wciąż obowiązującą w jej życiu gracją, a Zemilski jak zwierzę, co było znakiem, że okoliczności ich nie zmieniały.

– To od nas wszystkich – powiedział mężczyzna.

– Co z nami będzie? – zapytał Zemilski. – Zatluciecie nas, czy co?

– Ja teraz wrócę do domu. Odwrócę się i będę szedł. Zostawiam drzwi otwarte.

## ROZDZIAŁ X

Emre był obolały i upokorzony, pobili go rówieśnicy jego syna. Chciał wracać jak najprędzej do domu, ale Anna Zemełka zatrzymała się na środku szutrowej drogi i spojrzała na tę ni to wieś, ni to odległą dzielnicę miasta, która składała się z trzech nędznych budynków otoczonych starym sadem.

– Nie możemy teraz uciec.

– A co mamy zrobić innego? – zdziwił się Emre.

– Możesz im coś ugotować – powiedziała Zemełka, a Zemilski zaczął się głośno śmiać. Tanie i naiwne, Zemełka wzięła to pewnie z jakiegoś francuskiego filmu, który widziała na festiwalu filmów kulinarnych.

– Mogę to ja ich w dupę pocałować. Albo oni mnie – poprawił się Emre.

Psy szczekały, kiedy wrócili, ludzie ich wyzywali, a dzieci usiłowały złapać. Nie były już uzbrojone w kije. Nieudolnie chwytaly ich za kolana, jakby w żebraczym geście, były za niskie, by powalić ich na ziemię. A dorośli nie chcieli nic zrobić, tylko nawoływali, bali się, że za rękoczynny poniosą konsekwencje, których nie poniesie ośmioletnie dziecko. Choć ta społeczność to było w sumie kilkanaście osób, hałas i wrzask były przerażające. Emre zatkał uszy rękami i stał znieruchomiły. Zemilski kopął dzieci po tyłkach, na tyle mocno, że uciekały na chwilę kwiląc, ale tylko po to,

by wrócić, zagrzewane do walki przez ojców. I nagle to wszystko ucichło. Zemełka, która stała na pniu ściętego drzewa i ręką, która nie była uszkodzona, niemrawo odganiała się od chmary, machając swoją utyflaną w piachu torebką, pierwsza dostrzegła starą kobietę. Była to ta sama stara kobieta, którą spotkała kiedyś w parku, i w szkole, a potem zaprowadziła ją do przychodni. Zza nóg starej kobiety wyłonił się jej wnuk. Był to Marek, który w szkole dręczył syna Emre.

– Zostawcie ich – powiedziała stara kobieta sucho.

Jej głos był tak samo spokojny jak wtedy w parku i w przychodni, ale dopiero teraz Zemełka zdała sobie sprawę z jego siły. Kobieta miała długie siwe włosy zaplecione w cieniutki warkocz. Wyglądała wiejsko, ubrana w podomkę w kwiaty, wzorzystą, z odcieni brązu i granatu. Starannie wyprasowaną. Tam w mieście wydawała się miejską starą kobietą, kiedy opowiadała o uliczkach, na której przed wojną mieszkaly zgodnie polskie i ukraińskie rodziny.

Sfory ludzi posłuchała starej kobiety. Ona sama była tym zdziwiona. Pomyślała, że to pewnie z powodu pieniędzy. Była ich główną żywicielką, wszyscy jedli za jej emeryturę. Co wydało jej się jeszcze bardziej zaskakujące, pozwolili zaprosić przybyszy do domu.

Emre patrzył niepewnie i z niedowierzaniem zanotował, że Zemełka i Zemilski śmiało przechodzą przez próg burego budynku. Nie miał innego wyjścia, musiał także wejść, choć całym sobą pragnął znaleźć się przy Agnieszce i Tahirze, jak najdalej od tej ludzkiej przerażającej mazi.

Może trudno traktować jak wroga kogoś, kto czesał twoje włosy – pomyślała Zemełka. Siedzieli przy stole ze starą i jej wnukiem. Córka starej i przepity mąż zrobili im herbatę. Młodsza kobieta podała ciepły napój i opatrzyła rany Emre. Była delikatna, a pamiętał jak stała i śmiała się, kiedy dzieci okładały go kijami. Nie miała na twarzy wyrazu skruchy czy wstydu. Zachowywała się jak robot, jakby najbardziej naturalną rzeczą na świecie było to, że teraz omywa rany Turka i wysypuje cukier do jego herbaty, bo on sam nie może utrzymać łyżeczki, nie rozsypując wkłóto kryształków. Córka starej siwej kobiety opatrywała rany Emre i zastanawiała się, dlaczego to robi. Co tu się w ogóle wyprawia? Dlaczego ci ludzie wrócili, dlaczego się ich nie boją? I dlaczego oni ich goszczą? Wroga, Turka, ojca wroga ich syna.



Mały pomścił swoją krzywdę i ludzie Turka, razem z nim samym, powinni od razu wypierdalać. Powinni uciekać siwi ze strachu. A tymczasem ona właśnie przemycza rany Turka. To wszystko przez jej matkę. Tę diabolicę. Gdyby nie łała jej pasem w podstawówce, nie bałaby się jej jak głupia. I nie nienawidziłaby jej tak bardzo. Spojrzała na swojego męża. Żałosny pijak. Ale chciał dobrze. Chciał pomścić syna, jedyną perłę, jaka im się zdarzyła w życiu. Chciał, żeby syn był silny, żeby został bokserem i zwyciężał. Czy to takie złe, że chciał, aby syn radził sobie w życiu, a nawet więcej, żeby się wybił? Wszyscy oni chcieli, żeby komuś z nich w końcu coś się udało. Czy to takie dziwne?

– Gotowe – powiedziała do Emre i ku swojemu zdziwieniu jeszcze się do niego uśmiechnęła. Gdyby nie był ojcem chłopca, którego jej syn nienawidził, może nawet by go polubiła.

Kiedy Zemełka, Emre i Zemilski wypili herbatę i zjedli drożdżowe ciasto, które było wstrętnym, biednym zakalcem, pożegnali się i wyszli. Szli przez uliczkę, kuśtykając i podtrzymując kulejącego Emre. Zemilski co chwila zerkał na Annę Zemełkę. Była piękna nawet bez zęba. Nawet spuchnięta i brudna. Pobita naprawdę, pozbawiona aury zmyślonej baśniowej królowej, która ją spowijała, od kiedy ją poznał. Nie, nie budziła jego litości. Budziła jego czułość. Czy w takim razie można już mówić o miłości? Kiedy mijali dom głuchoniemych, w oknie poruszyła się firanka, a koty pochowały się na podwórku. Gdy przechodzili obok domu scenarzystki, zauważyli, że ta siedzi na tarasie z przystojnym mężczyzną i śmieje się głośno, jak młoda dziewczyna. W następnych dniach można było spotkać w barze u Zemilskiego osobliwe grono, które okupowało zawsze ten sam stolik. Siedzieli tam zwykle: Anna Zemełka, Pająk, Turek Emre, Karola, stara siwa kobieta i sam Zemilski. Podobno zwykle długo rozmawiali, robili notatki i nanosili znaki na mapę miasta. Kończył się lipiec.

KONIEC

@Copyright by Patrycja Nowak

---

Kraków 2017